Nr. 47. Kraków, dnia 20 listopada 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Król czynu.

Śp. ks. patron Wawrzyniak.

Kosa śmierci straszne uczyniła w ostatnich czasach spustoszenia w szeregach tych, ku którym zwracały się oczy całego narodu, którzy wiedli go ku wyżynom. Przypominamy tylko zgasłą niedawno Maryę Konopnicką, która aureolą piękna otoczyła wieś naszą polską, wniknęła tak głęboko w duszę ludu naszego; przypominamy inną wieszczkę, Elizę Orzeszkową, co dusze nasze wiodła ku wyżynom.

Ostatnio śmierć wyrwała społeczeństwu ks. patrona Piotra *Wawrzyniaka*, — zabrała go tej właśnie części Polski, której najbardziej potrzeba mężów wybitnych, dających moc i pokrzepienie w walce mozolnej, codziennej, bezustannej.

Mąż, nad którego mogiłą stoimy smutni, pełni żalu, nie grał na złotej harfie poezyi, nie wiódł dusz w piękną krainę ułudy, lecz silną swą dłonią uderzał w czynów stal, wskazując to i wiodąc ku temu, co koniecznie osięgnąć nam trzeba, by istnieć, by nie uledz napierającej z całą potęgą fali praktycznych, zimnych, systematycznych Prusaków. Nie był ten wielki nasz zmarły zapewne pierwszym na wielkopolskiej ziemi, co doszedł do przeświadczenia, iż, nie chcąc walczyć beznadziejnie, posiadać winniśmy broń również dobrą, również skuteczną, jak przeciwnik. Lecz nikt inny nie potrafił, tak jak on, dać nam skutecznej tej broni do ręki i wprawić ręki naszej we władanie nią.

Życie gospodarcze, było jego najwydajniejszem, najobfitszem w plony polem działania. Pomnikiem niespożytym, jaki Zmarły postawił sobie za życia, to niewzruszony, oparty o silne fundamenty gmach Związku naszych Spółek zarobkowych i gospodarczych, które za jego patronatu gęstą siecią objęły Wielkopolskę i Prusy Królewskie. On dał im te silne podwaliny, na których dziś się opierają, On umiał zwalczyć trudności, jakie prawidłowemu ich rozwojowi w poprzek stawały. Przez lat 20 blizko stał On, jako następca wielce zasłużonego około powstania Spółek ks. Szamarzewskiego na czele naszego ruchu spółkowego, ogarniając bystrym swym umysłem wszystkie jego tajniki dla innych niedostrzegalne. On — i to największą jego zasługą — potrafił wykształcić dzielnych spółpracowników i następców, dbały o to, by gmach przez niego wzniesiony nie runął, gdy Go samego nie stanie; wykształcił współpracowników, prócz u góry, także u dołu, rozumiejących cele i zadania poszczególnych banków i spółek. Był On jednem słowem nieocenionym mistrzem tej wielkiej machiny, której na imię Związek Spółek zarobkowych i gospodarczych w W. Ks. Poznańskiem i Prusach zachodnich, znał każde jej koło i kółko, spostrzegał zawczasu każdy jej brak i zapobiegał zawczasu wszelkiej przerwie w jej pracy.

To też w sprawach spółkowych był śp. patron Wawrzyniak niemal wyrocznią. Uwydatniało się to najlepiej, gdy głos zabierał w sali Bazarowej na Sejmikach Związku spółek: to co On powiedział, było niewzruszoną prawdą, a głos jego sięgał w sprawach spółkowych poza mury tejże sali, poza Związek, poza kordony, nawet na obczyznę bliższą i dalszą, zamorską.

Lecz wielki umysł śp. ks. Wawrzyniaka nie zasklepiał się jedynie na polu działań gospodarczych. Widział on i odczuwał wszystko, czego narodowi niedostawało, i wszędzie spieszył, by służyć radą i czynem.

Polityka nie była mu obcą. Z jednej strony okazał niezmiernie dużo zmysłu politycznego, dyplomatycznego w stosunkach Spółek do rządu pruskiego, a z drugiej, jako obywatel-Polak, nie wahał się przyjąć na potężne swe barki ciężaru godności poselskiej. W pięcioleciu od roku 1893 do 1898 był posłem na Sejm pruski jako przedsta-

wiciel okręgu śremsko-średzko-wrzesińskiego. Nie wysuwał się na mównicę parlamentarną, mawiając, że są lepsi od niego mówcy, lecz na posiedzeniach Koła służył gorliwie rozumną swą radą. Przeświadczony, że służba jego w kraju pożyteczniejszą będzie od służby w Berlinie, nie przyjął nadal mandatu poselskiego i oddał się zupełnie twórczej pracy wśród swoich. Lecz polityki nie zarzucił mimo to. Przyjął bowiem urząd wiceprezesa Prowincyonalnego Komitetu Wyborczego na W. Ks. Poznańskie, a gdy przy współudziale jego przyszła do skutku wielka organizacya wyborcza, obejmująca cały zabór pruski wraz z wychodźtwem, gdy powstał Polski Centralny Komitet wyborczy na całą Rzeszę niemiecką, powołano go na zaszczytny urząd prezesa tejże naczelnej władzy wyborczej. Urzędy te Zmarły dzierżył do śmierci.

Na polu pracy kulturalno oświatowej działalność śp. ks. Wawrzyniaka niemniej była twórczą i pożyteczną. Jemu głównie zawdzięcza swe powstanie wydział ekonomiczno-prawniczy w Towarzystwie Przyjaciół nauk, będąc w Poznaniu nie zmudził On jako członek Dyrekcyi Tow. Pomocy naukowej im. Karola Marcinkowskiego żadnego niemal posiedzenia, popierał usilnie radą i czynem cele Tow. Czytelni ludowych, a w przeddzień jeszcze swego nagłego skonu marszałkował Sejmikowi oświatowemu tejże instytucyi. Śrem, który nie zapomni nigdy o błogiej ćwierćwiekowej działalności Zmarłego, miasto, w którem późniejszy patron pierwsze stawiał kroki na polu pracy spółkowej, wdzięczny Mu jest za założenie Koła śpiewackiego, pierwszego w Wielkopolsce, wdzięczny Mu jest za pracę jego w Towarzystwie przemysłowem.

O działalności społecznej wreszcie Zmarłego świadczą księgi protokólarne Głównego zarządu Katolickich Towarzystw robotników polskich. Tu był on jedną z najważniejszych sprężyn, które powołały do życia Wydział społeczny, złożony z członków Głównego zarządu Związku i Zarządu Centralnego Tow. gospodarczego, Wydział, zajmujący się położeniem doli robotnika rolnego. O działalności społecznej Zmarłego świadczy dalej Związek kapłanów Unitas, Dom zdrowia w Zakopanem dla duchownych polskich wszystkich trzech zaborów, zawdzięczający powstanie swe głównie hojnej Jego dłoni.

Oto w przybliżeniu wszystkie obywatelskie dzieła pracowitego żywota śp. ks. prałata Wawrzyniaka. W przybliżeniu! Na to bowiem, by dać całokształt mrówczej działalności Zmarłego trzeba pracy rozległej, nie artykułu dziennikarskiego. Znajdą się niewątpliwie pióra, które drugiemu temu, kto wie, czy nie większemu od pierwszego, Staszicowi poświęcą pomnikowe dzieła, oświetlające gruntownie całe Jego życie, cały ogrom dokonanej przezeń pracy.

Wart On, Król czynu, dzieł pomnikowych, które dla potomnych będą głębokiem źródłem nauki, jasnym przykładem spełnienia obowiązków obywatelskich, gorliwej, wszechstronnej, nieustającej służby narodowej.

T. P.

Drobne wiadomości.

— **Niemcy w Galicyi.** Niemcy galicyjscy po przeprowadzeniu organizacyi politycznej przeprowadzają *organizacyę ekonomiczną*. Przy pomocy nacisku z zewnątrz, a także przy pomocy galicyjskiego „Bundu“, opracowano: „Statuten des Verbandes der landwirtschaftlichen Genossenschaften in Galizien“, z siedzibą we Lwowie. Towarzystwo w razie rozwiązania przekazuje cały majątek na „Bund“ niemiecki w Galicyi.

— **Pomnik Słowackiego w Krzemieńcu.** W tych dniach, jak nam donoszą, w Krzemieńcu, na Wołyniu, stał się fakt, pamiętny dla tej części kraju. Oto ks. Bielecki, proboszcz krzemienieckiej parafii, poświęcił świeżo w tamtejszym kościele, ustawiony piękny pomnik Juljusza Słowackiego. Przedstawia się on ze wszech miar dodatnio. Na tle niszy, ujętej w obramowanie czerwonawego kieleckiego marmuru, o formach tak prostych, że aż prawie surowych, poeta, w postawie siedzącej, ze wspartą na dłoni, przecudnie wymodelowaną głową. Poza nim, w głębi, geniusz w postaci skrzydlatego rycerza ze spuszczoną przyłbicą. Grupa wykonana z pięknego bronzu o zielonawych tonach. Całość 4 i pół metra wysokiego pomnika, dłuta Wacława Szymanowskiego, porywa szlachetnością, a imponuje powagą. — Jest to pierwszy na Rusi od lat wielu pomnik tej wartości artystycznej i takiego głębokiego znaczenia.

Chcieć to... módz.

„Stań się!“ Bóg tem słowem stworzył z niczego świat i wolą swoją z chaosu wyprowadził cud-przyrodę i głębie nieskończoności. Jeśli mówimy, że uczynił człowieka na podobieństwo swoje, nie rozumiemy przez to marnego kształtu ludzkiego, ale wlanie w nas tchnienia, cząsteczki tej „mocy“, co przypomina (choć zdala) moc twórczą Boga. Siłą samą naszej „woli“, jesteśmy zdolni tworzyć, budzić „światy“ do życia... Tylko zaciemniony umysł nie zdaje sobie sprawy z tego, przypisując olbrzymie wyniki woli prostemu szczęściu i fortunie, a ślepemu przeznaczeniu ujemne strony życia, wypływające z pozbycia się woli lub nieumiejętności jej używania.

Wiemy z katechizmu, żeśmy obdarzeni wolą, ale nikt nie rozwija jej, nikt nią nie kieruje, nikt nie obznajamia nas z potęgą woli, nie poucza, że składamy się prócz ciała i duszy jeszcze z „woli“, co rządzi obojgiem.

Dosięgamy szczytów dopiero przekonani, czem jest wola. Bo dwojaka natura w człowieku, ta co umie chcieć, i ta co nie umie... Osądzani jesteśmy i życie obchodzić się z nami zwykło podług dwojakiej normy, podług tego, cośmy chcieli, a mogli — to jest dobra, któregośmy nie spełnili, choć leżało w naszej mocy.

Okoliczności są jedynie szczeblami drabiny powodzenia, po których pnie się wola nasza. Gdy woli nie ma, daremnie patrzymy na szczeble.

Pewien spostrzegacz opowiada, że widział mrówkę, ciągnącą do mrowiska, pod górę, ciężar dwa razy większy, niż ona sama. — Dwadzieścia razy mrówka wraz z ciężarem staczała się w dół i tyleż razy dążyła znowu ku swojemu celowi Nareszcie dotarła gdzie chciała. Tak jest zawsze i z nami, ilekroć silna wola kieruje naszemi usiłowaniami. Ona działa cuda. — Słowo staje się ciałem, myśl czynem tylko przez wolę.

Nam Polakom tej woli, woli silnej, mocnej, jakże potrzeba! Wyrabianie takiej woli powinno stać na pierwszem miejscu, pierwszym obowiązkiem u wszystkich — a zwłaszcza u młodzieży.

Kierować własnem sercem trudno, od cudzego zaś — wara.

* * *

Nie ma człowieka zupełnie złego, jak nie ma zupełnie dobrego. Najlepszy jest ten, który zdołał opanować najsilniej miłość własną.

Do rodzinnej Strzechy.

Gnieździe rodzinne! Ojczysta Strzecho!
Twe białe ściany w maju zieleni
Najmilszą z dawnych wspomnień pociechą!
Biedny! — kto takich wspomnień nie ceni;
Kto nie odczuwa Twego uroku,
Myśląc o Tobie nie ma łzy w oku. —

Piastunko szczerych zabaw, wesela
W mej wiośnie życia! — każdy zakątek
Twój przeszłych marzeń blaski rozściela
I pełen miłych sercu pamiątek;
I nawet smutek w Tobie doznany,
Dziś zda się szczęściem kojącem rany. —

Prawdomir.

Siła moralna kobiet.

Od szeregu wieków utarło się mniemanie, że mężczyzna stanowi płeć silną, kobieta płeć słabą. Oczywiście, natura dając mężczyźnie siłę fizyczną, tem samem uczyniła go władcą ludzkości, włożyła mu w rękę miecz, by walczył, dała mu energię do poskramiania żywiołów morskich, odwagę do przebiegania śnieżnych lodowców oceanu północnego, dla zdobyczy naukowych, pozwoliła mu panować nad ziemią, wodą, a w ostatnim czasie i nad powietrzem. Czemże jest wobec niego kobieta, powie niejeden, kobieta obawiająca się pająka, wskakująca na krzesło na widok myszy, rozpieszczona i słaba, jak łodyga kwiatu?

Jest to sąd bardzo niesprawiedliwy, sąd powierzchowny, odrzucający uparcie dane, wręcz przeciwne, których historya zapisała niemało. Wiemy przecież, że np. u ludów pierwotnych, kobieta spełnia najcięższe roboty, rozbija namioty, uprawia ziemię, miele zboże, przenosi ciężary. Nie sięgając nawet tak daleko, mamy i w Europie podobne przykłady. W Hercegowinie kobieta zaprzęga się do wózka zamiast konia, a w stepach zastępuje muła, przenosząc przez góry ciężary. Niema prawie sportu, od któregoby się kobieta uchylała, sportu wymagającego nawet siły

i odwagi. Jeździ konno, pływa, wiosłuje, uprawia turystykę, towarzyszy mężczyźnie w niebezpiecznych wyprawach, z równą jemu pogardą śmierci i odwagą.

Livingstone, sławny podróżnik afrykański zeszłego stulecia, nie rozłączał się z żoną. Ona wyrwała go od śmierci w Schupanga, i umarła potem ze zimną odwagą, nie chcąc go opuszczać. Baker, który w roku 1864 odkrył jezioro Albert Nyanza, nie mógł się dość nachwalić bohaterstwa, siły i odwagi swojej żony. Józefa Peary towarzyszyła mężowi swemu w r. 1902 do bieguna północnego wśród niesłychanych trudności i uciążliwości wyprawy, i miała jeszcze tyle siły, żeby opiekować się swojem dzieckiem. Prawdziwie straszną chwilę przeszła żona misyonarza Rynharta, która towarzyszyła mu w okolice Tybetu. Podróż ich była pełna trudności i niesłychanych przygód. Niedaleko Lhassa, napadli ich rozbójnicy tybetańscy i wymordowali wszystkich współtowarzyszy. Ukrywszy się z żoną i dzieckiem w gęstwinie drzew misyonarz wyszedł po pewnym czasie z gęstwiny, i udał się ku sąsiednim siedzibom by błagać o pomoc. Nie wrócił więcej. Zamordowali go rozbójnicy. Kobieta sama z dzieckiem ruszyła w drogę, spodziewając się co chwila śmierci. Po czterech tygodniach podróży, wyczerpana z sił, wycieńczona strasznemi cierpieniami, dotarła do miasta Ta-Tsen-Lu, ocalając życie dziecku i sobie. Niepodobna wyliczyć wszystkich przykładów mniej, lub więcej znanych. Rewolucya rosyjska zapisała także sporo nazwisk bohaterskiej odwagi kobiet.

Polki nasze dla Ojczyzny wiele działały, np. Chrzanowska, broniąc Trębowli, Platerówna, walcząc z Rosyanami itd. Powie ktoś może, że to były natury wyjątkowe. Zapewne. Kobiety, jak i mężczyźni, wyjątkowo obdarzeni siłą moralną i geniuszem politycznym, zjawiają się zazwyczaj najliczniej w epokach, w których poziom kultury, szlachetności, albo wrażliwości jest bardziej wysoki,

Często bywa tak, jak tego mamy dowody, że znaczna ilość kobiet wyjątkowo odważnych nie podejrzewała w sobie zupełnie tej zalety, ani też nikt z bliskich nie posądzał ich, aby były zdolne do czynów wielkich. Zazwyczaj sądzi się kobietę z jej życia zewnętrznego. Widzi się ją, w salonie, jako damę światową, przy gospodarstwie jako dobrą żonę i gospodynię, w otoczeniu dzieci jako troskliwą matkę, widzi się ją w życiu codziennem, w którem kobieta daje z siebie tyle, ile tego takie życie wymaga. Kobieta na pozór prosta, swawolna, nie dbająca o jutro, ukrywa nieraz na dnie swej duszy tyle odwagi, że ani ona sama, ani często nikt w niej tego się nie spodziewa, heroizmu, który śpi w niej nieświadomie, jeżeli życie jej płynie normalnie, a który zamienia się w bohaterski kwiat poświęcenia i dobrowolnego zaparcia się, jeśli na rodzinę jej spadnie nieszczęście, choroba lub ruina. Wtedy, jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiej, kobieta swawolna zamienia się w inną kobietę. Któż jest bardziej zdolny do ofiar, dobrowolnych poświęceń, a więc wszystkiego, co jest cechą istot wyjątkowych? Trzeba tylko spojrzeć uważnem okiem dokoła siebie, aby spostrzedz w życiu codziennem tysiące takich przykładów.

Złudzenia.

Słońce zachodzi. Nad brzegiem rzeki leży, kona człowiek.

Palące pragnienie go trawi. Pije chciwie, niespokojnie patrzy na wodę, która płynie zwolna, ucieka...

Czarowne łąki, zamki, lasy nadbrzeżne zdobią jej bieg. Nic nie zdoła powstrzymać jej ani na chwilę.

Umierający myśli: oto obraz mego żywota.

W tej uroczej godzinie przeszłość staje mu przed oczyma.

Pamięta, dobrze pamięta dzieciństwo swoje i pierwsze młodociane pragnienia, gdy gorąco chciał złapać ptaszka, dosiąść konia, objechać wielki świat. Pamięta, jak tęsknił za pocałunkiem matki, która go odumarła!

Gdy był młodzieńcem, zapragnął całą pełnią z rzeki życia. Pochłonęła go namiętność do nauki, żądza wielkich czynów... Nauka zasnuta w mgłę nie odsłoniła przed nim najgłębszych swych tajemnic. Czyny spełnione malały. I czuł też ból, dręczący każdą duszę, że rodzi się samotna, samotna idzie przez życie, samotna odchodzi w mroki.

Natenczas zamarzył o miłości wzniosłej; sądził, iż idąc w świat we dwoje, nie będzie sam. I to złudzenie zawiodło, jak inne.

Życie nie zaspokoiło pragnień. Wzmagały się one i potężniały tym bardziej, im bardziej i głębiej patrzył w serce ludzi. Wierzył, iż przyniesie ulgę innym i sobie i nie przestawał współbraciom, złączonym wspólną męką, podawać dłoni pomocnej: nadaremnie.

Widział, jak pili oni też chciwie z rzeki życia, a każdy miał nadzieję, iż w czarodziejskim napoju znajdzie to, czego szuka.



Kościuszko w bitwie pod Racławicami.

Ten pił sławę, tamten sprawiedliwość, ów zaspakajał pragnienie ideału; większość pożądała bogactw i rozkoszy.

Lecz czara napoju wychylonego gasi na chwilę pragnienie. Na dnie czary jest jedno: złuda.

I przeszło życie. Umierający po raz ostatni chciwą dłonią zaczerpnął zwodniczego napoju, spojrzał na mknącą rzekę, na zachodzące słońce, na piękny, złudny świat i że złudny, żegnał go bez żalu.

Teraz w duszy jego wezbrała nowa, potężniejsza tęsknota. Gdy nadszedł kres spojrzał wstecz na przeżyte dni, i zrozumiał, iż ogrom pożądań ludzkich jest większy niż świat.

Czymże są one jednak wobec najpotężniejszego z pragnień, pragnienia nieśmiertelności?

Nadaremnie pił chciwie z rzeki życia.

Człowiek i medycyna.

Ciekawą i pouczającą konferencyę wygłosił profesor uniwersytetu wiedeńskiego dr. von Struempel w wiedeńskim Związku nświaty ludowej. Mówił o „własnym warsztacie". Warsztatem zowiemy przyrząd do pracy rzemieślnika. Jakimże jest warsztat lekarza i czy lekarz jest rzemieślnikiem? Tak — twierdził prelegent — winien być rzemieślnikiem i artystą w równej mierze. Jego rzemiosło polega na zdobyciu wiadomości fachowych i fachowych zręczności, zaś artyzm — na stosowaniu nabytej wiedzy. Rzemieślnik pracuje wedle wzoru, wedle szablonu: produkuje masowo i jednostajnie. Artysta produkcyom swoim nadaje indywidualne piętno, ożywia je własną myślą. Artyzm lekarski polega na indywidualizowaniu, to jest na zrozumieniu tej głębokiej prawdy, że niema chorób, a są tylko — pacyenci, bo każda choroba rozwija się inaczej na tle każdego pojedyńczego organizmu.

Specyalizacya medycyny utrudnia poznanie choroby. Nie jest to parodoks. Lecząc jeden tylko organ, nie uwzględniamy całokształtu organizmu. Pacyenci przyzwyczaili się zwracać do specyalistów w każdej poszczególnej dolegliwości. to też mając wielu lekarzy, nie mają zwykle żadnego, któryby znał ich konstytucyę. Zadaniu temu sprostać może jedynie lekarz stały, domowy znający dobrze stronę fizyczną i duchową pacyenta. Ze szkodą dla powszechnego zdrowia, coraz mniej domów miewa domowych lekarzy. Lekarz musiał dawniej poprzestawać na badaniu chorobliwych zjawisk, które się dadzą stwierdzić słuchem i dotykiem. Nowoczesne wynalazki pozwoliły najlepszemu sprawdzaniu choroby: oku lekarza zagłębić się w organa wewnętrzne. Pierwszy w r. 1851 dr. Helmholtz wynalazł lusterko, przy pomocy którego można oglądać gardło. Dzięki odkryciu Wilhelma Roentgena, dokonanemu w r. 1895 można już nie wyczuwać, ale wprost oglądać jeżeli nie tętno ich serca i oddech płuc to ich odbicie, nader dokładne. Lekarz widzi pulsowanie aorty, widzi funkcyonowanie żołądka, naczyń krwionośnych, widzi uszkodzenia kości, ściga promieniami uwięzłą w nich kulę rewolweru lub karabinu, dostrzega kamienie w nerkach, słowem może przeciwdziałać skutecznie, dzięki temu, że nie działa poomacku. Wynalazki w dziedzinie dyagnostyki wykazały przyczyny mnóstwa chorób, powstających skutkiem walki intruzów, które się zakradają do naszego organizmu. Tymi intruzami są bakterye. Wedle tego, czy one, czy też odporność komórek wzźmie górę, następuje śmierć lub uzdrowienie. Tyfus, dyfteryt, szkarlatyna, tuberkuloza są terenem owych zapasów.

W innych znowu chorobach — ratunkiem bywa — gorączka. Zapoznawano jej dobroczynne działanie, witano ją z trwogą. Nowsze badania wykazały, że jest ona także walką, wytaczaną przeciw chorobie. Jak dzielny człowiek własne miasto podpala, aby go nie oddać na łup wroga, tak gorączka wznieca pożar w organiźmie, aby nie dać go na pastwę chorobie. Jest ona jednem z licznych narzędzi walki z bakteryami. Dzięki badaniom Pasteura, Kocha, Behringa, dowiedzieliśmy się, że ta walka prowadzona jest przy pomocy chemicznej broni — trucizny i przeciwtrucizny. Bakterye, wszelkiemi sposobami, przez wytwarzanie materyi trujących usiłują nadwyrężyć lub zabić organizm, lecz w tem zmaganiu się komórki przeciwstawiają truciźnie antidotum. Niepodobna tych dwu zwalczających się czynników oddzielić chemicznie, lecz można je poznawać po ich działaniu i przyglądać się przez mikroskop walce pomiędzy surowicą krwi chorego a wytwórczemi sztucznie bakteryami. Badania nad surowicą, prowadzone we wszystkich krajach kulturalnych, mają nietylko praktyczne, ale i teorytyczne znaczenie, są nowym dowodem stosunków, panujących w świecie organicznym. Każdy organizm walczy o swoje istnienie, a może je otrzymać jedynie kosztem innych istnień. Wśród tych walk siły organizmu wzrastają. Nowa konieczność samoobrony wytwarza nowe narzędzia walki.

Jest wielu bardzo chorych, którzy doznają różnych dolegliwości, mimo, że najpilniejsze badanie lekarskie nie dostrzega żadnych zmian organicznych, ani też żadnej infekcyi. Można śmiało twierdzić, że połowa pacyentów należy do takiej kategoryi. Bywają zawsze niezadowoleni z lekarzy, zmieniają ich ustawicznie, żaden nie przynosi im ulgi. Cierpienia ich są natury „funkcyonalnej", lub też nerwowej. Zgoła nie niebezpieczne, tem niemniej przykre i drażniące.

Nasz organizm jest w ciągłej pracy. Jak w laboratoryum, odbywają się w niem procesy



Przy źródle.

chemiczne, jak w fabryce działają kółka, transmisye, a każde kółko, każda część składowa musi być dopasowaną wybornie, bo inaczej działa wadliwie. Dopóki natura pracuje bez naszej świadomości, dopóki posłuszna jest własnym prawom, dopóty jesteśmy zdrowi. Choroba zaczyna się z chwilą, gdy jeden z organów bunt podnosi.

Tyranami naszego organizmu są nerwy. W konstytucyjnem państwie naszego ciała, one chcą zawsze władzę zagarnąć, one oddziaływują na inne funkcye, szwank im zadają, one też powodują cierpienia bez organicznej przyczyny.

Najdzielniejszym pracownikiem w naszem ciele jest serce. Codziennie wykonywa robotę, równującą się dźwiganiu 20 tys. kilogramów na wysokość 1 metra. Gdy zaczynamy kontrolować usługi, świadczone nam przez tego niezmordowanego pracownika, jego akuratność i wierność odmawia posłuszeństwa. A kontrolujemy je nieraz i posądzamy niesłusznie. Śmiało powiedzieć można, że liczba osób, wyobrażających sobie, że mają wadę serca, jest daleko większa od liczby osób, istotnie chorych na serce. Skuteczność działań lekarza jest ograniczona. Głównym jego pomocnikiem nie są ani lekarstwa, ani hygiena, jest sam chory, jego wola rozumna, jego systematyczna chęć przyjścia sobie samemu z pomocą.

Oddzieływanie lekarza na stan duchowy pacyenta za pomocą wmawiania zdrowia, siły woli, bywa bronią obosieczną. Tak zwana psychoterapia uczyniła w ostatnich czasach znaczne postępy i stała się poważną gałęzią medycyny. Zresztą od lat tysięcy dokonywała „cudów“ nieświadomie. Należy jednak bardzo oględnie używać hypnozy w celach leczniczych. Hypnotyzując pacyenta czynimy go sztucznie histerykiem. Działając na chorobę za pomocą hypnozy, wypędzamy dyabła przez Belzebuba.

Taką przestrogą dla kolegów i pacyentów skończył prelegent swój wykład.

Z tryoletów jesiennych.

Smutnym jękiem pożegnania
Za oknami szumią drzewa — —
Wiatr po szybach wtór wydzwania
Smutnym jękiem pożegnania.

Dni wiośniane — dni kochania
Mara wspomnień w duszę wlewa — —
Smutnym jękiem pożegnania
Za oknami szumią drzewa.

Feliks Gembicki.

Koszary oświaty.

Pod takim nagłówkiem zamieściła „Riecz“ dowcipny feljeton, obrazujący dosadnio kierunek, w jakim zmierza obecnie działalność rosyjskiego ministerstwa oświaty:

„Pułki ucieszne“ rosły jak grzyby...

Uczniowie szkół do tego stopnia przejęli się duchem, że do rodzonego ojca zwracali się w ten sposób:

— Wasze błagorodie, papo!

Starszych braci nazywali dziadkami, a młodszym braciom dawali co chwila kuksańce i stawiali ich pod broń. Jedno tylko zawstydzało i obrażało „ucieszny ch“ żołnierzy, mianowicie uniformy nauczycieli. „Cywile! — pogardliwie mówili o swoich nauczycielach uczniowie. — Gdzie kto kiedy widział, aby dzielni żołnierze słuchali cywilów“. Uczniowie starszych klas dowodzili całkiem rozsądnie: „W żadnym kraju asesorowie nie dowodzą kompaniami. Nas obrażają“.

Kiedy szemranie uczniów doszło uszów personału nauczycielskiego, postanowiono natychmiast zaspokoić słuszne życzenia „ucieszny ch“ żołnierzy.

— Należy wystarać się, aby nas wciągnięto na listy wojskowe — zaproponowali pedagogowie. — Bo i cóż z nas w gruncie rzeczy za nauczyciele. My jesteśmy wojskowi.

Staraniom nauczycieli wkrótce władze wyższe uczyniły zadość. Dyrektorowie zaczęli nazywać się generałami gimnazyów. Inspektor — brygadyerem nauk gimnazyalnych. Pozostali nauczyciele otrzymali godności następujące: Rotmistrz arytmetyki. Porucznik języka francuskiego. Bombardier matematyki. Wachmistrz języka rosyjskiego. Feldfebel geografii. Podoficer historyi. I tak dalej.

Nauczyciele przyjeżdżali do powierzonych im oddziałów z szablą przy boku z ostrogami i w czapce zuchowato wsadzonej na głowę. Kiedy przejeżdżał „generał gimnazyum“ dzwoniono w wielki dzwon i na powitanie wybiegała warta honorowa.

Lekcye odbywały się w sposób następujący:

Nauczyciel wchodził do klasy i komenderował:

— Kompania... Do szeregu!

Uczniowie ustawiali się w szeregu.

— Do modlitwy!

Uczniowie odmawiali modlitwę — poczem siadali i wyjmowali książki.

— Iwanow! — wołał nauczyciel.



Będzin. — Widok na zamek.

— Tu! — zuchowato po żołniersku odpowiadał Iwanow.

— Marsz do tablicy!

Iwanonow wychodził do tablicy i zaczynała się lekcya.

— Kim był Minin?

Iwanow odpowiada żwawo:

— Będąc rzeźnikiem Minin był patryotą i lubił bić Lachów. Z czego wynika, że wszyscy patryoci winni być rzeźnikami i bić kogokolwiek z pośród obcoplemieńców.

— Doskonale. Zaraportuj swojej bezpośredniej władzy domowej — mamie, aby ci dała przy obiedzie więcej leguminy.

— Pietrow!

Występował Pietrow.

— Czem się odznaczył Maluta Skuratow?

— Maluta Skuratow odznaczył się tem, że umiał zręcznie wieszać i odcinać głowy, za co współcześni nazwali go katem.

— I to już wszystko?

— Nadawano mu także inne brzydkie nazwy.

— A zatem jesteś zdania, że nazwa kat brzmi brzydko?

— Tak jest panie poruczniku!

— Osioł jesteś! Powiedz swojej domowej władzy wyższej — ojcu, aby ci dał w skórę.

Stopnie zniesiono, a na to miejsce ustanowiono medale za pomyślne zwycięstwa nad naukami.

Na ulicy często było można spotkać uczniów z piersią zawieszoną medalami.

Na zapytanie gimnazyaści odpowiadali chętnie, ponieważ dyscyplina nakazywała grzeczność i uprzejmość.

— Ten medal za co pan otrzymał? — zapytywali przechodnie.

— Za zwycięstwo nad wrogiem wewnętrznym — językiem francuskim.

— A tę ozdobę z mieczami?

— Za zdobycie w ataku wroga wewnętrznego — gramatyki rosyjskiej.

— A ten znowu znak ze skrzyżowanymi karabinami?

— Za dzielny najazd na geografię.

Kiedy już wszystkie szkoły przejęły się duchem wojskowym do tego stopnia, że nauczyciele zaczęli wstydzić się umiejętności czytania i pi-

sania i podpisywali się krzyżykami, ministerstwo oświaty oznajmiło:

— Teraz już czas uczynić krok ostatni.

I natychmiast wydany został nowy okólnik, w którym powiedziano krótko: „Uważając wyrazy „szkoła“ i „gimnazyum“ za niecenzuralne i obrażające uczucie patryotyczne ludzi prawdziwie rosyjskich, postanowiliśmy zastąpić je bardziej odpowiedniem słowem — koszary. Odtąd zatem nie będzie już żadnych szkół, ani gimnazyów, będą tylko — koszary oświaty. Pod okólnikiem widać było podpis: „Minister koszar oświaty“.

Latarnie umarłych.

Do wysoce interesujących zabytków średniowiecznych należą t. zw. „latarnie umarłych“; charakteryzują one dawne wierzenia, przypominają życie obozowe ówczesnych pokoleń, pełne przygód awanturniczych i dziwnych zwyczajów, stawiają przed oczy nasze ówczesne zabobony i przesądy. Przechowują się te zabytki w Europie zachodniej, zwłaszcza w południowej Francyi, większość zaś ich pochodzi z XII w. Nazywają je także „latarniami morskiemi“ lub „cmentarzami“. Są to kolumny wydrążone lub wieże, posiadające u górnej części otwory podobne do tych, jakie widzimy w dzwonicach. W otworach, z nastaniem zmroku rozpalano ogniska. Wznoszono owe latarnie wzdłuż dróg przy wejściu do wsi, a częściej jeszcze w pobliżu cmentarzy lub na samych cmentarzach.

Długo uczeni nie mogli dojść przeznaczenia tych latani z dziwną nazwą, wreszcie zgodzili się na to, że wznoszono je w dwóch celach: żeby zabłąkanym podróżnym pomagać do odnalezienia właściwej drogi, oraz żeby żywym przypominać obowiązek modlitwy za dusze zmarłych. Sponde w dziele p. t.: „Cmentarze poświęcone“ mówi: „Ś-ty Augustyn uczy nas, iż grobowce nazywane są pomnikami dlatego, aby pobudzały ludzi do modlitwy za umarłych. Z tego też powodu cmentarze urządzono obok kościołów i przed kościołami, a w dawnych czasach przed bramami miast i przy wielkich drogach. Podróżni, dążący do miasta lub kościoła, widząc cmentarz, przypominali sobie, że Kościół zaleca modlitwę za zmarłych jako obowiązek chrześcijański“. Często latarnie umarłych stoją w pobliżu kościoła, lub na placu pośrodku wsi, a po zbadaniu tych miejsc łatwo się przekonać, że ongi tam istniał cmentarz.

Oprócz dwóch wymienionych celów, łączących religijność z pożytkiem, latarnie umarłych miały inne jeszcze przeznaczenie. Zapalono je, aby uczcić pamięć zmarłych; przypominały one pożytek modlitwy nawet w tych późnych godzinach, kiedy mrok nocy zasłoni krzyże; służyły do wskazywania drogi orszakom pogrzebowym, które dążąc z daleka, drogę swoją kończyły wśród nocy.

Kształty latarni umarłych były najrozmaitsze. Typem najbardziej rozpowszechnionym była kolumna wewnątrz pusta, okrągła lub kwadratowa, od 6 do 10 metrów wysoka. Na dole zwykle znajdują się drzwiczki, a po za niemi sznur, za pomocą którego wciąga się na górę, do wysokości otworów pod kopułą, latarnię, pochodnią lub ognisko. W niektórych latarniach wydrążenia są tak obszerne, że do okien górnych może się dostać człowiek, wspierając się o występy muru.

Pierwotne oświetlano latarnie za pomocą kłod drewnianych, a specyalny dozorca podtrzymywał ogień. Niekiedy budowano latarnie znaczniejszych rozmiarów, że schodami wewnątrz, Latarnia w St. Pierre d'Oleron, wznosi się na miejscu dawnego cmentarza, wewnątrz posiada ślimakiem wijące się schody, pochodzi z XII w.

Niektórzy utrzymują, że pierwotnie latarnie te były latarniami morskiemi. Wątpliwości nie ulega, iż mogły one służyć żeglarzom jako sygnał, o ile znajdowały się w pobliżu morza; ale celem ich właściwym był obowiązek religijny, czego dowodzi ta okoliczność, że każda na szczycie posiada krzyż, a na dole ołtarz, na którym odprawiano Msze podczas pogrzebów, lub w rocznice żałobne i w Dzień Zaduszny.

W Niemczech i we Włoszech również spotkać można latarnie umarłych. W pobliżu Sienny, w San Galgano, Cystersi obsługiwali taką latarnię, wzniesioną na cmentarzu. W pewnych godzinach nocy, gdy latarnia płonęła, uderzali w dzwon srebrny, znajdujący się przy wieży, który dźwięczał przejmująco smętnie, a który okoliczni mieszkańcy nazywali *la Samaritta* — co znaczy — głos zbłąkany lub zasmucony.

Mężczyźni lepiej umieją badać ludzkie serce, ale kobiety lepiej potrafią w nich czytać!

* * *

Miłość, jak łza, pozostaje w oczach, a pada na serce.

* * *

Nie ma cięższej boleści nad uczucie, żeśmy kogoś na cierpienia skazali.



Wiara, Nadzieja, Miłość.

Przezorność bobra.

W Londyńskim Ogrodzie Zoologicznym, w oddziale, zajmowanym przez bobra, znajduje się gruby, ciężki pień drzewa, utrzymujący się na swej podstawie jedynie za pomocą wątłego pasma włókien. Najlżejszy wiatr wprawia go w powolny ruch wahadłowy i zdaje się, że lada chwila go wywróci. Jest to w swoim rodzaju osobliwością, która nadto zasługuje na uwagę i z tego jeszcze względu, że stanowi dowód niezwykłej przezorności bobra. Wiadomo, że zwierze to odznacza się wielką zmyślnością, którą wykazuje zwłaszcza w budowie kunsztownych mieszkań w wodzie z kawałków drzewa, spojonych ubitą ziemią. Budowa jest akuratna i bardzo trwała. Materyał budowlany bóbr gromadzi z wielką pracowitością, ścinając drzewa nadbrzeżne ostremi zębami w ten sposób

iż upadają w wodę, a następnie są spławiane przez bobry w właściwe miejsce i tam jak należy obrabiane. Bóbr w londyńskim Ogrodzie Zoologicznym również sam wybudował domek w basenie z pni drzew, które zarząd Ogrodu umyślnie przy basenie w ziemię wkopywał. Ponieważ zwierzę wciąż siedzibę swoją wzmacnia i ulepsza, zarząd wciąż też dostarcza mu materyału do tego. Otóż piłując zębami pień, wkopany przed kilkoma miesiącami, bóbr zauważył, iż w danym razie niema pewności, czy pień wywróci się w pożądaną przez niego stronę, t. j. czy upadnie w wodę basenu. A nuż upadnie w stronę przeciwną, wprost na niego... zabiłby go na wtedy miejscu. Zmyślny gryzoń przeto przezornie zaprzestał pracy i czeka, aż wiatr, czy też inna okoliczność spowoduje upadek podpiłowanego pnia. Co wieczór wychyla się ze swojej chatki nawodnej i obserwuje drzewo, lecz zawsze trzyma się od niego w odległości równej wysokości pnia. Ten dowód przezorności wzbogacił monografię zmyślnego gryzonia jednym szczegółem więcej.

Instytut piękności.

Była asystentka jednego z wielkich instytutów piękności w Paryżu opowiada w pewnym tygodniku angielskim o najskrytszych tajemnicach swego domowego zajęcia. Klientów damy, do której należy ów instytut, można liczyć setkami; naturalnie składają się wyłącznie z przedrtawicielek płci pięknej. Kilka klientek było pięknościami uznanemi; uczęszczały one do instytutu celem zachowania piękności. Większa atoli część składała się z brzydkich albo posiadających błędy piękności, te przychodziły więc, ażeby kazać usunąć te ostatnie lub też by się przekształcić w piękności. Ta druga kategorya stanowiła właśnie najlepszą klientelę, pomimo, iż rzadko osiągała celu. Reklama instytutu przyobiecywała wszystko, co było możliwem lub niemożliwem, przedstawiając uzyskane skutki w obrazach. Ale owe obrazy nie odzwierciadlały prawdy, ponieważ przeważnie wyobrażały piękne, ale niezasobne damy, które w zamian za dobre honoraryum pozwalały się fotografować „przed“ i „po“. Dla zdjęcia „przed“ ozdabiano je rozmaitemi błędami piękności, piegami, włosami na twarzy i zmarszczkami — po obmyciu się dotyczącej damy można było robić zdjęcie „po“, które uwydatniało zbawienną skuteczność tynktury lub maści, takie lub owakiej. Zadziwiająco wielką nazywa była asystentka instytutu piękności liczbę młodych panien, które odbywały kuracyę w instytucie celem odnowienia skóry na twarzy. Zabiegi towarzyszące kuracyi, wydają się być prawdziwym szeregiem tortur, ponieważ poddająca się jej kobieta, musi przedewszystkiem w instytucie siedzieć całymi dniami w gorącym i ciemnym pokoju, a potem musi się kuracyę kontynuować dalej w domu. Po upływie czteru do pięciu tygodni naskórek na twarzy się złuszczy pod wpływem takiej kuracyi, a jego miejsce zajmie skóra świeża i delikatna. Przeprowadzenie takiej kuracyi kosztuje około 600 koron.

W każdym razie jest to nie wiele za nową i bez błędów skórę, ale niestety nowy naskórek nabiera po kilku tygodniach właściwości starego. Zdarza się także, że klientki instytutu skarżyły się z powodu nieudałej kuracyi i żądały odszkodowania. Po największej części kończyły się tego rodzaju sprzeczki w drodze ugodowej, ponieważ żadna z dam nie wyznałaby chętnie przed sądem, iż była klientką instytutu piękności. Zapatrując się na ów zakład z punktu widzenia czysto kupieckiego, nabiera się przekonania, że taki instytut się opłaca znakomicie. Nietylko za kuracyę płacono drogo, lecz także sprzedaż rozmaitych środków upiększających dawała spore sumy. Sprzedawano bowiem całe wyprawy upiększające, których cena wynosiła od 100 do 3000 franków. Najlepszym atoli interesem musi być niezawodnie sprzedaż rozmaitego rodzaju maści i creme'u upiększającego, który sprzedawano za 25 franków, można było sporządzić kosztem 2 do 3 franków.

Jakie odległości przebywa człowiek w przeciągu życia.

Wszyscy jesteśmy podróżnikami światowymi, którzy, chcąc nie chcąc, odbywają w ciągu swego życia raz albo i więcej razy podróż na około kuli ziemskiej.

Zwykły urzędnik naprzykład, uczęszczający codziennie rano do biura i powracający w południe na obiad do domu, by po południu znowu odbyć tę samą drogę tam i z powrotem, przebywa w ciągu dnia, jeżeli się przyjmie, że



Samoanka.

jednarazowa tura wynosi 4 kilometry, drogę długości 16 kilometrów. To daje razem w roku, licząc 300 dni pracy, 48,000 kilometrów. W przeciągu lat 10 przebyłby ów urzędnik odległość 48,000 kilometrów, a więc tem samem odbył dłuższą drogę, aniżeli droga na około kuli ziemskiej, ponieważ ta ostatnia wynosi tylko 40,000 kilometrów. Jeżeli zatem dosięgnie do 50 lub 60 lat służby, odbywa przy swoich skromnych podróżach codziennych 5, 6 lub 7 razy podróż dokoła ziemi.

„Lecture pour tous", która w ostatnim zeszycie zamieściła na ten temat bardzo ładny artykuł, podaje jako dalszy przykład chłopa, kroczącego za pługiem. On wprawdzie nie może przechodzić takich odległości jak urzędnik, ale pomimo to przebywając dwie trzecie ej drogi, zdoła przecież w ciągu swego życia odbyć kilkakrotnie drogę na około świata. Ludzie innych zawodów, w których trzeba wiele chodzić, osiągają daleko większe rezultaty.

Listonosz wiejski naprzykład przebywa w ciągu jednego dnia większą ilość kilometrów piechotą lub rowerem.

Czasopismo fraocuskie przytacza jednego, który w ciągu 50 lat przebył drogę długości 540,000 kilometrów. Zajęci przy środkach komunikacyi pospiesznej, jak konduktor lub maszynista na lokomotywie, przebywają w swoim życiu zadziwiające długie przestrzenie. Maszynista prowadzący pociągi stale na przestrzeni Paryż—Marsylia, wynoszącej 863 kilometrów długości, przebywa w 25-krotnej jeździe tam i z powrotem drogę, równającą się co do długości równikowi. W przeciągu roku może osiągnąć nawet pięciokrotną długość równika,

a więc 200,000 kilometrow, co w przeciągu 30 lat wyniesie przestrzeń długości 6 miljonów kilometrów. To jest już bardzo poważna podróż.

Tak samo i podróżujący na okręcie przebywają ogromne przestrzenie, jakkolwiek nie takie, jakie przebywają maszyniści przy pociągach.

Rekord pod tym względem postawił H. Stevens, były kierownik okrętu »Luciana«, który wogóle przebył drogę morską długości 5,556,000 kilometrów. To odpowiada 138 krotnemu obwodowi kuli ziemskiej.

Podobnie długie podróże można odbywać, nie opuszczając wcale własnego domu.

Naprzykład krawiec, który siedzi zgarbiony przy stoliku i szyje bez wytchnienia. Jego ręka tymczasem odbywa dalekie podróże. W przeciągu minuty przestrzeń jaką jego ręka odbywa, może dojść nawet do długości 30 metrów, co wynosi przy 10 godzinnej pracy w ciągu jednego roku 6,480 kilometrów, a w 30 latach 200,000 kilometrów. Także i zwykły pisarz może osiągnąć podobne rezultaty.

Człowiek piszący w minucie 30 słów, przez 10 godzin dziennie, uzyska w przeciągu roku linię poprowadzoną atramentem, wynoszącą okrągłych 100,000 kilometrów.

Nowe książki.

— **„Ojczyzna w piśmie i pomnikach“.** Nakład księgarni Zdzisława Rzepeckiego i Ski w Poznaniu. Skład główny na Królestwo: E. Wende i Ska w Warszawie. Tomów 2, arkuszy 60, stron 960, ilustracyi przeszło 500.

Cena Mrk. 18,—

Dzieło powyższe jest bardzo umiejętnie, a przytem przystępnie napisaną historyą piśmiennictwa polskiego, której autorką jest Helena Rzepecka z Poznania. Wydawcy działając wedle z góry obmyślanego planu zapoznali cały ogół polski czytający z polityczną historyą narodu wydając wspólnie z p. Karolem Kozłowskim „Dzieje Polski“ Baczyńskiego przed dwoma laty. Dziś dokonują zadania swego puszczając w świat historyą kulturalną Polski w szczególności dzieje piśmiennictwa polskiego.

W dwóch poważnych tomach o bardzo sympatycznej szacie zewnętrznej przedstawia nam autorka wszelkie wybitne postacie literatury polskiej od Kadłubka, Długosza począwszy, kończąc na żyjących naszych Koryfeuszach. Zaletą dzieła są cytaty wyjęte z dzieł kronikarzy, pisarzy, sławnych kaznodziejów i poetów, to też kto dzieło to przeczyta, ten nabierze zrozumienia dla całokształtu polskiego piśmiennictwa. Wiele nowych, nieznanych rycin przyczynia się do tego, że każdy weźmie dzieło to z chęcią do ręki, a dla młodzieży polskiej jest ono prawdziwym skarbem, bo wiadomo, że młodzież nasza jakkolwiek zna może dostatecznie przeszłość naszą polityczną, to o kulturze i piśmiennictwie polskiem na ogół wziąwszy, bardzo mało niestety posiada wiadomości. Podręczniki bowiem suchą swą formą i rozległością materyału zrażały młodzież i niechętnie bierze ona literaturę polską do ręki. Obecnie szkopuł ten zostaje usuniętym, a liczne i piękne ryciny kolorowane i czarne, oraz cytaty tak zaciekawiają umysł czytelnika, iż dzieło przyniesie niewątpliwie pożytek jednostkom i całemu społeczeństwu. Cena okazałego tego wydawnictwa w porównaniu do innych dawniejszych wydanych w innych zaborach jest tak nizką, że wydawcy osiągnąwszy rekord powinni znaleźć uznanie w każdym polskim domu.

Do najciekawszych szczegółów „Ojczyzny“ należą cytaty dawnych polskich kronikarzy, ustępy z kazań ks. Piotra Skargi, przepowiadające upadek Polski, autogryfy czyli odbicia własnoręcznych pism króla Jana Sobieskiego, księdza Kordeckiego, Kochanowskiego i piękne odbitki sztychów Lewickiego do „Pamiętników Paska“, dzisiaj już mało komu przystępnych.

Oprócz tablic wielkich odtwarzających zabytki malowanych ręcznie pergaminów i rękopisów znajdujemy w „Ojczyźnie“ podobizny najstarszych druków polskich, ryciny pomników, języka, malarstwa i budownictwa naszego.

Już ze względu na bogactwo treści i wielką obfitość materyału do wykładów, odczytów polecamy dzieło to wszystkim i tym także, którzy się zajmują samokształceniem i czytelnictwem naszego społeczeństwa.

Nowe dzieło księgarni Zdzisława Rzepeckiego i Ski zasługuje dla wyżej wymienionych zalet na jaknajwiększe rozpowszechnienie, a tak jak przed dwoma laty i przed rokiem rodzice kupowali młodzieży „na gwiazdkę“ „Dzieje Polski“ i „Grunwald“ tak obecnie najstosowniejszym podarkiem dla polskiej młodzieży będzie niewątpliwie „Ojczyzna w piśmie i pomnikach“.

Łamigłówka do nagrody.

Ułożył czyt. J. B. z R.

Co to za władczyni i jak się nazywa,
Co nie ma państwa a przecież panuje,
I choć w swych rządach nieraz śmieszną bywa,
Jednak jej każdy z ochotą hołduje?

Rozwiązania łamigłówki prosimy nadsyłać najpóźniej do 24. bm. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 49.

Rozwiązanie

łamigłówki zamieszczonej w nr. 45.:

mak, lak, **h**ak, **r**ak, **s**ak, **ż**ak.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Józef Bąk, Janina Barucka, Franciszek Biliński, Felicya Brachlówna, Konstanty Cag, Marya Chciukówna, Michał Chciuk, J. Cholewik, Wł. Dubaj, Konstanty Finik, Marya Haass, W. Hyla, Jan Inglot, Leon Janicki, Jaroszówna, Otylia Kostańska, Romuald Kulczycki, W. Nowosielecki, Zofia Radziwiłłowa, Wilhelm Rückemann, Celestyn Schöffer, Feliks Ślusarczyk, J. Steindl, P. Stolarzewicz, Adam Świerkosz, Kazimierz Szeliga, Stanisław Szóstak, Anna Wełnianka, Wanda Witkowska.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Jadwiga Adamczewska, Kazimierz, Stanisława i Walenty Balcerscy, Franciszka Biedrzyńska, Stanisław Bilski, Agnieszka Błaszczyk, Franka Bogusławska, Ludwik Bróżdziński, Kazimierz Brzozowski, Jan Burek, Żdzisław Czarliński, Tadeusz Frezer, Stanisława Graczyk, Anna Hofman, Wanda Idźkowska, Janek z pod Góry Przemysława, El. Janicka, Stanisława Janiszewska, Jadwiga Jarysz, Tadzio Jordan, Marysia Kasprzak, Stefcia Kiser, Jan Kleemann, Adam Krysiewicz, W. Leszczyńska, Maryan Lewandowski, Jadwiga Mathea, J. Nalaskowska, Marya Nehring, Irena Opieszyńska, Wiktor Orzykowski, Izabela Pągowska, Józef Papon, Roman Piątkowski, Stanisław Pietrzak, Stefcia Płazalska, Ula Plecińska, Tadeusz Przybyszewski, Mieczysław Pyszczyński, Mania Raczyńska, Zbyszek Radziszewski, Cecylia Sikorska, Hala i Zofia Stachowska, Józef Szajek, Zbyszko Szymański, Zygmunt Szynkowski, Lutek Weydmann, Józio Wichliński, Stanisław Wrzyszczyński.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Tadzio, Henryk i Gincia Hankiewicz z Steglitz (p. Berlinem), Hieronim Jaworowski z Drezna, Bronisław Konopiński z Berlina, Maciej Łuczak z Röllinghausen (Westfalia), Kazia Sokołowska z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium, Józef Zarzycki z Turynu (Włochy).

Nagrodę otrzymają:

pp. J. Nalaskowska z Dom. Dąbrówki (pod Barcinem), Zygmunt Szynkowski z Poznania, P. Stolarzewicz z Żywca, Zofia Radziwiłłowa z Krakowa.

Reklamy.

Kaszlącym zwracamy uwagę na ogłoszenie o *Thymomel Scillae,* przez lekarzy zapisywany i bardzo skuteczny preparat.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ.

NR 47

(Ciąg dalszy).

— Masz dom, obowiązki, stanowisko, opinię i jesteś żonaty! Przed tem będziesz się musiał tłómaczyć.

— Przed żoną może? — spytał szyderczo. — A ja ojcu zapowiadam, że ani myślę, ani chcę ani będę się usprawiedliwiał. Ojciec mnie ożenił, ojciec wie, w jakich warunkach. Zastrzegam sobie swobodę i będę jej używał!

Prezes patrzał na niego oszołomiony.

— Andrzeju, czyś oszalał? Widzę, żeś niepoczytalny w tej chwili i mówić z tobą nie będę. Jak oprzytomniejesz, sam zrozumiesz, ileś głupstw popełnił. Gdzie byłeś ranny?

— Głupstwo, draśnięcie! — burknął.

— Widziałeś żonę?

— Widziałem. Miała rozum milczeć i niech to jej ojciec i nadal zaleci.

Prezes patrzał nań, ruszył ramionami i wyszedł.

Nad domem zawisła ponura cisza. Andrzej wyszedł o ósmej, stary zamknął się u siebie. Kazia załatwiwszy domowe sprawy, poszła na górę i szyła, rozmyślając, że znowu, jak w Górowie jest istotą zawadzającą i nigdzie, nikomu, ani miłą, ani potrzebną.

O jedenastej kazała gasić światło. Andrzeja nie było, słyszała, że wrócił dopiero o trzeciej i gwizdał jakieś kuplety. Wracał z hulanki widocznie.

Nazajutrz w drzwiach lecznicy spotkała Kazia Downara.

Operacya była skończona.

Nie pytając, po oczach jego jasnych poznała, że był kontent.

— Uratowana? — zawołała radośnie, wyciągając doń obie ręce.

Skinął głową, uśmiechnął się i ująwszy w swe olbrzymie łapy jej drobne dłonie rzekł:

— Udało się. Tymczasem niebezpieczeństwo zażegnane. Dobrze. Dziecko nie zostanie sierotą. Ale pani niech tam nie idzie, wieczorem chyba. A czego to pani tak źle wygląda, anemia się zbiera! Paskudna choroba. Moc weźmie, nerwy starga. Nie trzeba się poddawać.

— Czy to można być zdrowym, kiedy się chce?

— Młodemu można i nawet trzeba! A nie tęsknić do pola, nie tęsknić, ono śpi, odpoczywa teraz. Zima, chłód, głód, ludzie cierpią. U Wieczorków, na Solcu, mówili mi wczoraj: ta pani, co ją pan doktór przysłał, to ino wejdzie i już jakby słońce weszło! Zanieść im słońce w tę suterenę, wyręczyć mnie starego, bo nie mam czasu. A chorobie się nie dać.

— Idę, profesorze — uśmiechnęła się.

Popatrzał jej bystro w oczy.

— Wie pani, kiedy człowiek głupio czas marnuje? Kiedy się nad sobą żali.

Zarumieniła się, spojrzała nań wdzięcznie i rzekła:

— Dziękuję, profesorze!

Uścisnęli jeszcze raz dłonie i rozeszli się.

Downar spojrzał na zegarek, potem do notatnika.

— Mam trzy godziny dla swoich! — zamruczał i ruszył na Smolną, nie uważając wcale, że o sto kroków za nim szła żona. Doprowadziła go do rogu Nowego światu i w kwadrans po nim zadzwoniła do mieszkania w znajomej sobie kamienicy.

Po chwili otworzono jej i w progu, zamykając sobą wejście, stanęła stara kobieta w czepcu i katanie, typowa chłopka.

— Chcę się widzieć z doktorem Downarem.

Baba popatrzyła na nią, ruszyła ramionami.

— Ne suprantu! — odparła cofając się i zamykając drzwi, ale Downarowa nie ustępowała.

— Nie udawaj, wiedźmo! Jestem żoną doktora Downara i będę się z nim widzieć.

Gwar kilku głosów słychać było w mieszkaniu śmiechy, ożywioną rozmowę.

— Idź, zawołaj mi tu zaraz tego swego pana! — tupnęła nogą Downarowa.

Baba powtórzyła swoje: ne suprantu, a że w tej chwili Downar zawołał: Barbikie — snać to jej była nazwa — zatrzasnęła Downarowej drzwi przed nosem!

Dzwoniła nadaremnie kilka razy, wreszcie zeszła i wyszukała stróża, który był wściekły, bo mu właśnie ktoś skradł miotłę:

— Czy tu ktoś jest u doktora Downara?

— Albo ja wiem! — mruknął.

— Co to za baba tam służy u niego?

— Meldowana je, Baba, zwyczajna baba.

— Dodzwonić się nie można.

— A pani do onej baby ma jenteres? Ona ci nie gada po ludzku, żmujdzinka je, czy jakoś tak.

— Chcę się widzieć z doktorem.

— On ci nie przyjmuje państwa tutaj, ino czasem prosty naród. Niech pani ze swą chorobą idzie do jego szpitala.

Tu ujrzał chłopaka, wyglądającego z sutereny i zwrócił się do niego:

— Niczyja robota, ino twoja, obwiesiu! Gdzie je miotła, kondlu. Tyś ino przeleciał bez bramę i już miotły niema.

— Miotła, miotła! — zaskrzeczał chłopiec. — Po ki dyabeł mi ten ożóg. Wasza może na niej dymnęła na Łysą Górę!

Stróż poskoczył do okienka, zaczęła się szermierka językowa, podwórko zaludniło się gapiami. Downarowa wyszła na ulicę.

Gdy Downar przyszedł do domu na obiad, znalazł w mieszkaniu nieład, a na środku jadalni wielki kufer, do którego żona znosiła garderobę. Lokaj i służąca pomagali jej w tem tak pilnie i ochoczo, jakby to była ich własna wyprawa, a w drzwiach od kuchni stała gruba Franciszka kucharka i uśmiechała się, założywszy bezczynnie ręce na fartuchu.

— No, co się stało? — zagadnął.

— Wyjeżdżam.

— Dokąd? Co tak pilno?

Nie było odpowiedzi.

Zrozumiał tedy, że pytać dalej nie warto. Zrozumiał, że Franciszka nie gotowała obiadu i że najlepiej zrobi, gdy zniknie. Nie rzekł słowa, tylko zaciął zęby, oczy mu dziwnie pociemniały, zwrócił się i wyszedł. Na schodach spotkał Andrzeja Sanickiego.

— Profesor wychodzi, a ja właśnie chciałem się poradzić.

— Służę! Wstąpię do pana. Jakoś pan istotnie na chorego wygląda.

Weszli do gabinetu Andrzeja.

— Chory właściwie nie jestem, ale miałem wypadek z bronią, byłem ranny w bok, lekko zresztą, ale musiałem zawcześnie tu wrócić i gorzej mi znowu dolega.

Downar go obejrzał.

— Trzeba poleżeć dni kilka, nic złego, ale się nie goi rany biegając po mieście. Mięśnie poszarpane, tylko o parę cali na lewo, toby pan poleżał trochę dłużej, bo do Sądu Ostatecznego. Paskudne bywają wypadki z bronią.

— Nie będę leżeć, profesorze. Nie mogę!

— Ano, jak pan nie może, to nie! — odparł flegmatycznie Downar. — To opatrzę pana codzień wieczorem przez pierwsze trzy dni, a potem nauczę żonę pańską jak robić opatrunek; za dwa tygodnie będzie pan zdrów.

— No, nie, żona mnie opatrywać nie będzie, ona wcale nie wie o wypadku, i nie chcę, by wiedziała. Profesor mi raczy dochować sekretu.

— Naturalnie, ale ja tu jeszcze panu coś przepiszę. Cały system nerwowy rozklekotany, jak stuletni fortepian. Nigdym pana nie widział w tak złym stanie! Trzeba się zaszanować, panie Andrzeju. Sypia pan dobrze?

— Wcale nic prawie. Miałem ostatniemi czasy masę zajęcia i nieprzyjemności.

— Zajęcia i owszem — to zdrowe, a nieprzyjemności... w pana wieku i położeniu być nie powinno przy dobrej woli.

— Dobrej woli do troski nikt nie ma! — uśmiechnął się Andrzej z przymusem.

— Ha! takby się zdawało, ale człowiek jest, jak ten robak z gadki: siedział w śliwce, chciał lepiej, wlazł w orzech, źle, wlazł w korę drzewną, źle, więc szukając lepiej, wlazł w chrzan, wtedy się uspokoił. Nie róbcie tak, panie Andrzeju. Troski służą geniuszom, bo wtedy najlepiej tworzą, ale my, ludzie zwyczajni, jak się poddamy troskom, nie tworzymy nic, tylko piekło sobie i swoim. Nerwy dzisiejsze, nie obrachowane na znoszenie nieszczęść i klęsk; pan swoje niech oszczędza, bo będzie źle. Jako lekarz i przyjaciel pana ostrzegam. Nie szukać chrzanu.

— Profesor taki uroczysty, jakbym stał nad grobem.

— Bo źle jest z panem! Do grobu wszyscy dążymy, jedni powoli, inni takim pędem, jakby, licho wie, co za nagroda ich tam czekała. Mniejsza zresztą o grób, bo ten nie minie, ale nie traćcie zdrowia samochcąc. Jak się pan nie zastanowi, nerwów w garść nie weźmie, to czeka pana gorsze niż grób: niedołęstwo, rozstrój, osłabienie umysłowe i fizyczne, zanik woli i sił, jednem słowem: ruina i śmierć, na długo może przed grobem jeszcze. To dopiero prawdziwe nieprzyjemności będą! No, a teraz, do widzenia, panie Andrzeju i darujcie szczerość, alem wasz przyjaciel stary i wiele nędz widziałem, które można było zażegnać we właściwym czasie.

— Dziękuję, profesorze. Jeśli było waszym zamiarem mnie wystraszyć, toście swego dopięli.

Przeprowadził go do przedpokoju, tam Downar jeszcze się zatrzymał i rzekł:

— Niech też pan uważa na żonę. Młoda jest i zdrowa, ale to kwiat. Zbladła i zmarniała w mieście; trudno się aklimatyzuje widocznie.

— Jeśli kwiatem ją profesor raczy nazywać, to chyba polny. W cieplarni jej nie chowano stanowczo, a tu robi, co jej się podoba.

— Jak nic może wpać w anemię, a potem byle co z nóg wali!

I poszedł Downar do restauracyi na obiad, i myślał o swych fachowych sprawach, o biesiadzie na Smolnej, mimochodem o żonie.

Od dawna pożycie domowe traktował jak reumatyzm zadawniony, do którego wreszcie człowiek tak nawyknie, że mu prawie nie dolega.

Do Andrzeja przyjechał Markham z Grodziska, a że konferencya fabryczna się przewlekła, został na obiad.

Cenny to był współbiesiadnik, rozmowa była swobodna, a tematu, jak zwykle, dostarczali ludzie i plotki miejskie; po obiedzie zjawiło się kilka osób z rodziny, i zaledwie późnym wieczorem domowi zostali sami i prezes rzekł:

— Obiecałeś Markhamowi być jutro w fabryce. Wróćże wcześnie, bo jutro nasz „fix", i koniecznie być musisz.

Jeśli znajdę tam wszystko w porządku, to wrócę.

— Żadne „jeśli"! Musisz być — i musicie temi czasy pokazać się razem w teatrze. Mam dosyć plotek i skandalów.

Kazia milczała, zajęta robotą.

— Nic nie muszę! — wybuchnął Andrzej — i nic sobie nie robię z plotek gawiedzi! I nie myślę grać komedyi, bo mi za to nie płacą. Nie jestem zresztą w humorze bawienia ludzi, ani wysiadywania w teatrze. Mam masę zajęcia.

— Wolisz bawić ludzi sobą: winszuję! — oburzył się prezes. — Masz siebie za bohatera, a wszyscy drwią za twemi plecami.

— Z czego? Że żona moja pozuje malarzom do obrazów? Mogą mi to w oczy powiedzieć, pewnie się nie wzruszę, ani będę kruszył kopii.

— Słuchaj, chyba nie rozumiesz, co mówisz!

— Owszem, to ojciec zapomniał moich warunków przedślubnych. Zastrzegłem sobie zupełną swobodę. Ojciec lekceważył moje żądanie, teraz je pozna. Proszę brać przykład z niej. Milczy, zgadza się na wszystko, bo mi nic nie może zarzucić. Biorę i daję zupełną swobodę. Inni mężowie mają dwie miary, ja jedną dla nas obojga. Nie pytam, co ona czyni i jak życie swoje urządza, w zamian nie pozwolę na żadną kontrolę i kierownictwo.

Kazia podniosła głowę, spojrzała na niego jasno, smutno i bardzo łagodnie.

— To prawda. Rozmówiliśmy się przed ślubem, jak dwoje wspólników o interesie materyalnym. Nie dawałam uczucia i nie wymagałam.

Pan chciał się ożenić dla owej sumy legowanej przez matkę pod tym warunkiem, ja chciałam się usunąć przez wzgląd na ojca. Chciałam mu dać spokój i zadowolenie pewnością, żem szczęśliwa. Była to szalona utopia. Spadłam tu tak obca i dzika, tak niewyrobiona i młoda, że pewnie winna jestem obecnemu swemu położeniu. Nie znam ludzi, ani tego świata, a najgorsza, że nie umiem kłamać i udawać, i wedle siebie ludzi sądziłam. Jestem bardzo winna, ale też i ukarana. Jestem panu ciężarem i kulą galernika, ludziom przedmiotem pogardy i pośmiewiska i wedle tego, co pan zamierza czynić, niemożliwem będzie ukryć przed ojcem prawdy naszego życia. Wszystko, com budowała, czegom pragnęła, nad czem pracowałam, w gruzy się rozsypie. Ale pan nie winien, nie pan cierpi, więc jest bezwzględny. Tylko panu jeszcze szczęście wróci i życie się odnowi, bo pan mężczyzna, władca swej doli i niedoli, tylko dlatego trzeba, żebym ja się usunęła z drogi. Jestem w waszym domu niepotrzebna, a między wami kamieniem obrazy. Po co mamy sobie robić piekło, ludziom widowisko? po co mamy nawet udawać, jak ojciec chce, dla formy pustej? Dajcie mi odejść! To jedyne rozwiązanie kwestyi.

Obadwa patrzali na nią, obadwa w głębi zawstydzeni, żaden się nie odezwał.

Ona raz zacząwszy, nabierała mocy i potrzeby wypowiedzenia do dna swych myśli i uczuć.

— Ja czuję, że tu nie wyrosnę; ludzie mnie, a ja ich nigdy nie zrozumiem, ani się pogodzę z tym światem. Obcą jestem i obcą pozostanę, nie umiem żyć w tłumie, wciąż sądzona, szpiegowana, krytykowane, potępiana. Nie jestem ani lepsza, ani gorsza od nich, jestem inna. Przybyłam z głową, pełną utopii. Chciałam serdecznie być panu przyjacielem i towarzyszką, ojcu, jak rodzoną córką, dla siebie znaleźć jaki cel, zajęcie. Tęskniłam i tęsknię szalenie do wsi; żeby się przemódz, pracowałam i myślałam o innych. I co z tego?... dom stał się panu więzieniem, moje towarzystwo przymusem nieznośnym, na który cała dusza pana się buntuje; ojciec z mojej racyi ma upokorzenie i wstyd wobec ludzi, a mnie uczyniono kochanką pana Radlicza, awanturnicą, urządzającą schadzki pod firmą dobroczynności. Cierpiałam w milczeniu, myśląc, że może jeden ojciec przynajmniej zachowa swój spokój, ale i to mi nie dane, więc proszę was: dajcie mi odejść!

Zwróciła się do Andrzeja:

— Robię scenę, i to bardzo nie w porę, kiedy pan ma wiele przykrości, ale tyle już ludzie temi czasy o nas gadali, że gdy zniknę z horyzontu, mniej będzie wrzawy. Jutro rano rozmówię się z ojcem, i mogę zaraz wrócić do Górowa.

Prezes wstał i słowa nie rzekłszy, wyszedł.

Andrzej pod jasnym jej, prawym wzrokiem oczy spuścił i nagle poczuł się tak upokorzonym, tak głupim, marnym, nikczemnym, że, jak niedorostek, rzekł bezmyślnie:

— Com ja winien? Okoliczości tak się podle złożyły. Chory jestem, jak pies, wszystko mnie drażni. Cóż znowu?... nie myślałem, żeby z tego jutrzejszego fiksu i tego teatru miała być awantura. O co chodzi? żeby się pani ojciec o niczem nie dowiedział? Odwiedzę go jutro rano, będę tu wieczorem.

— Chodzi nie o jutro, lecz o całe życie! Daj mi pan odejść, zanadto mi tu ciężko.

— Odejść... jak pani chce! Żeby pani była wcale nie weszła do tego domu! Teraz mi obojętne. Pani chce odejść, wyzwolić się dla kogoś, dla Radlicza może.

Zaśmiała się gorzko.

— Ja pani w niczem nie krępuję przecie. Jestem tak znękany i wyczerpany, że tak nagle zdecydować się nie mogę. I pani niech się zastanowi. Prawda, byłem bezwzględny, przepraszam.

Na twarzy jej odmalowało się wielkie zmęczenie i zawód.

— Więc ma zostać, jak było! — szepnęła głucho.

— Pani tak chciała!

— O, nie tak, nie tak! — potrząsnęła głową. Gotowam była pracować i żyć bez miłości, ale nie w nienawiści być i żyć.

Wzdrygnęła się, podniósł oczy.

— Nienawiść czułem i ja w pani, nie starała się pani niczem mnie dla siebie zjednać.

— Owszem starałam się panu nie zawadzać, nie narzucać swą obecnością. Byłam wzięta na gospodynię domu, spełniałam mój obowiązek.

— Tak, spełniała pani swój obowiązek — powtórzył. — Pani jest uosobieniem chłodnego rozsądku i gospodarności, przynajmniej dla mie. Inni inną panią znają zapewne. Na obrazie Radlicza nie gospodaruje pani podobno, ale kocha i marzy.

Żachnęła się, wstała, rzuciła na stół robotę.

— Dlaczego pan to mówi, wiedząc, że to fałsz?

— Tego nie wiem. Radlicz sięwcale nie zapiera, że panią kocha, cały świat was łączy, a trudno wierzyć, żeby młody mógł żyć bez miłości. Zapewne, powie pani, że na straży stoi katechizm, ale nie bardzo wierzę w ludzkie wynalazki przeciw żywiołowym siłom.

— Gdybym pokochała, wyznałabym to przedewszystkiem panu! — odparła.

— Po co? Żeby mnie upokorzyć?

— Upokorzyć? Jakim sposobem? — zdziwiła się szczerze.

Popatrzał na nią i ruszył ramionami.

— Istotnie — pani niema pojęcia o miłości! — rzucił niecierpliwie.

Wstał także i syknął z bólu. Przy ruchu uraził ranę i pobladł dotykając boku.

Zauważyła to, ale nic nie rzekła. Wtedy on ozwał się twardo:

— Może pani śmiało tryumfować i drwić ze mnie. Rywalka pani mnie zdradziła, wystrychnęła na dudka, mąż jej mnie postrzelił. Musieli to pani ludzie dawno donieść. Miała pani rozkoszną chwilę zemsty.

— Ani mi ona była rywalką, bom pana nie kochała, anim czuła rozkosz odwetu, bo mnie pan nie okłamywał. Żal mi było pana.

— Tego mi pani nie okazała.

— Owszem, przed chwilą, gdym chciała się usunąć. — Pomyślałam, że gdybym ja kiedy pokochała, najcięższym by mi był pana widok i obecność, i — prawa.

Spojrzeli sobie teraz w oczy, wyciągnął do niej rękę.

— Zostanie pani? Jeszcze raz przepraszam, będę na przyszłość uważniejszym.

Bez zapału i wiary podała mu dłoń.

— Pójdę, powiem ojcu! — szepnęła z westchnieniem.

— Ja się położę. Może zasnę!

Zawahała się i przemogła.

— Jeśli pan chce, umiem ranę opatrzeć. Codzień w lecznicy to czynię, mam wprawę.

— To już za wiele zaparcia siebie i poświęcenia. W lecznicy są bliźni, a ja wróg i kat. Dobranoc.

Nazajutrz prezes zastał ich oboje przy rannej herbacie. Musiała go Kazia z wieczora bardzo dobrze usposobić i uspokoić, bo na powitanie pocałował syna w głowę i rzekł wesoło.

— Więc tedy Downar znowu cudu dokonał z twoją macochą, córuś. Wartoby chorą odwiedzić.

— Idę tam zaraz. Ale większy cud, że jest teraz tak dobra dla mnie. Czy wie tatuś, że gdy myślała że umrze, oddawała mi Zosię na wychowanie i opiekę?

— Niech żyje i niech ją sama chowa!

— Pójdziemy razem do lecznicy — rzekł Andrzej.

— To nie jedziesz do Grodziska?

— Ano nie, bobym musiał wracać przed wieczorem dla tego zebrania.

— To dobrze, chłopcze. Powinnibyście być z wizytą u starych Markhamów i u tych przeklętych Wolskich.

— U Wolskich! — skoczył Andrzej.

— Nigdzie nie będziemy! — zdecydowała spokojnie Kazia. — On jest niezdrów i powinien siedzieć w domu, najlepiej nawet, gdy się położy, a ja mam wyżej głowy roboty z Ramszycową, która wyjeżdża temi dniami, i zdaje na mnie cały swój kram.

— Winszuję, to już cię wcale nie zobaczę.

Uśmiechnęła się.

— Jak gdyby tatuś w domu dużo sam przebywał! Wrócę na obiad i na wieczór, jak zwykle. Dziś nawet wcześniej, bo muszę kolacyę przygotować.

Andrzej kazał konie zaprzęgać, i rzekł, podsuwając jej Kuryera.

— Co wolisz: „Hugonotów“, czy „Lohengrina?“ Wezmę lożę, to i ojcowie z nami pójdą.

— Lohengrina — pojutrze. Dobrze?

Prezes z pod oka na mnie patrzał i zachwycał się, i radował. Nie wiedząc, jak okazać swe ukontentowanie, począł pogwizdywać dyskretnie. Służący oznajmił, że konie gotowe.

— Nie zawcześnie będzie? — rzekł Andrzej.

— To się przejedźcie do Łazienek.

— Ależ o jedenastej nie wcześnie! — zaprotestowała Kazia, sprzątając pospiesznie przy bufecie.

Gdy wsiedli do powozu, Andrzej się odezwał.

— Co za zgroza na propozycyę tych Łazienek!

— Istotnie, przeraziłam się na myśl, jak to panu byłoby przykre. Bywał pan tam w szczęśliwszych warunkach...

— Tak, spotkała mnie pani nawet parę razy w Alejach. Jak to już dawno! Ale czy pani sądzi, że gdy kiedy ze swym wybranym tam pojedzie, to on tam z panią pierwszą będzie?

— Nie, tego nie myślę, ale bym chciała być ostatnią. Tracić jest ciężej, niż wcale nie mieć.

— Pani to zna?

Zarumieniła się mocno.

— Gdybym nie znała, nie byłabym tu z panem.

— Ach, prawda, miała pani narzeczonego.

Zamyślił się.

— A jeśli on wróci? i wróci po panią?

— Powiem panu szczerze i otwarcie. Ale to jeszcze jedna z moich utopii. Nie wróci już! A gdyby wrócił, to nie do mnie.

— Kochała go pani tak bardzo?

Nie odpowiedziała. On poczuł falę nielogicznej złości i niechęci, coś jakby zazdrość o to uczucie kobiety, o którą nie dbał, której nie kochał, ale która z prawa była jego własnością.

— Wolskie! — szepnęła Kazia, kłaniając się.

Uchylił i on kapelusza.

— Szlag mamę ubije! — zauważył. — Skamieniała na nasz widok. Ciekaw jestem, co będą teraz gadać! Ja byłem śmiertelnie ranny w pojedynku, pani odesłana do rodziny! Rozwód w konsystorzu. Pogłupieją.

— Wcale. Powiedzą, że jestem potwór, Messalina, żem pana potrafiła okłamać lub przebłagać, albo, że sobie nawzajem tolerujemy zdrady i zuchwale stawiamy czoło opinii.

— Co prawda mają trochę racyi. Szczególna z nas para. Mówimy sobie „ty“ przy ludziach, „pan“ i „pani“ gdy jesteśmy sami, nie mamy żadnych tajemnic, a jesteśmy wrogami, pani mi się zwierza o eks-narzeczonym, ja pani wyznaję swą miłosną porażkę.

— Nie okłamujemy siebie, dzięki Bogu!

— Tylko oto idziemy okłamywać ojca! — zakończył, bo powóz stanął przed lecznicą.

— Dla tego kłamstwa, gotowam na wszystko.

— Nawet na pozostanie w moim domu?

— Nawet I wdzięcznam panu za towarzystwo w tej chwili, bardzo wdzięczna.

— Trudno tę wdzięczność okazać.

— Niepodobna. Ani panu potrzebna, ani miła. Ale zobaczy pan, że, za ofiarę ze siebie, dostanie pan od losu nagrodę za mnie.

— Wygodnie jest mieć los za kasyera. Ale jestem teraz w takiem usposobieniu, że trzeba cudu, by mi coś mogło zrobić przykrość lub przyjemność.

Spojrzała nań z uśmiechem.

— A ja zakład stawię że sprawię ten cud.

— Pani?

— Ja, jeśli pan zechce ze mną pójść ztąd jeszcze na godzinę z wizytą.

— Pójdę przez prostą ciekawość.

Szpanowski wyszedł na ich spotkanie, wypadła też Zosia, dopominając się, że chce iść do Maniusi i Felisia, i powitała ich uśmiechem Szpanowska.

— Zupełnie nas pan Kazi pozbawił. Wpadnie na chwilę, i już ją coś, a raczej ktoś do domu ciągnie.

— A mnie się zdaje, że jej nigdy w domu niema — odparł swobodnie.

— To ty hulasz po świecie! — rzekł wesoło Szpanowski. Od tygodnia codzień ciebie czekają.

— Żona mi dokumentnie zmyła głowę wczoraj za to, i tak wystraszyła, że dziesiątemu zakażę bałamuctwa. Teraz będę siedzieć w domu, aż mnie sama wypędzi.

— To ty, Kaziu, ostro rej wodzisz w domu — zaśmiał się Szpanowski.

— Ma racyę — dodała Szpanowska. — Ma młodego, ślicznego chłopca, niech go pilnuje, bo ukradną.

— Nie dam się wziąć!

Gadanie. Nie wierz temu, Kaziu, i pilnuj sama swego. To najbezpieczniej, słyszysz?

— Słyszę, mamo, ale on żartuje. Nie miałam prawa i racyi do zmycia głowy, bo się nie bałamucił, ani bawił za granicą! Miał interesa. Teraz go istotnie trochę w domu przetrzymam, bo niezdrów i przepracowany.

Reperowała pilnie jakąś okaleczoną Zosi lalkę, i była mu tak wdzięczna, tak wdzięczna, że nie śmiała spojrze!

A on patrzał na jej pochyloną, złotą głowę, i zauważył raz pierwszy, że zbladła i zmizerniała, sieć żyłek miała na skroni, i usta ledwie różowe. „Młoda jest i zdrowa, ale to kwiat“, przypomniał słowa psychologa Downara i żal... mu się jej zrobiło.

— Będę miał do wiosny dużo roboty, nim się to zorganizuje, ale potem chciałbym się trochę uwolnić, wyjechać na odpoczynek. Zeszłe lato odsiedziałem w tym skwarze, z powodu małżeństwa, teraz muszę to powetować. Kazia też zmarniała w mieście, potrzebuje powietrza i ciszy.

— Daj nam ją pan do Górowa na lato! — zawołała Szpanowska, a Szpanowskiemu zabłysły oczy.

— No nie — zaśmiał się Andrzej. — Nie dam jej nikomu.

— Ależ nie myślę was rozłączać. Razem!

— Ciebie znudzi wieś prędko! — westchnął Szpanowski.

Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Nie, jutro — odpowiedział Dixmer. I znowu spojrzawszy wokoło i przysłuchawszy się, wstał, poskładał rejestra, podszedł ku więzieniu i zapukał.

— Cóż tam? — spytał Gilbert.

— Ja wychodzę, obywatelu.

— Dobrze — rzekł żandarm z głębi swej celi. — Dobranoc.

I usłyszawszy skrzypnięcie zawiasów domyślił się, że żandarm idzie otworzyć drzwi, zatem odszedł.

Na korytarzu prowadzącym z mieszkania ojca Ryszarda na dziedziniec, spotkał odźwiernego w futrzanej czapce, który dzwonił pękiem kluczy.

Dixmer zląkł się, przyszło mu na myśl, że ten człowiek nieokrzesany jak wszyscy ludzie jego powołania, zatrzyma go, będzie badał, będzie się mu przypatrywał, a może i pozna. Zaraz więc nasunął kapelusz na uszy a Genowefa otuliła twarz swą czarną mantylką. Jednak omylił się.

— Ah! przepraszam; — rzekł odźwierny, — chociaż nie on, ale jego potrącono.

Dixmer zadrżał na dźwięk głosu tak miłego i ugrzecznionego. Ale odźwierny musiał się zapewne spieszyć, bo wsunął się w korytarz, otworzył drzwi od mieszkania ojca Ryszarda i znikł.

Dixmer ruszył w dalszą drogę uprowadzając Genowefę.

— To szczególna — rzekł kiedy już był na podwórzu, i gdy świeże powietrze owiało mu pałające czoło.

— O! tak, bardzo szczególna — szepnęła Genowefa.

W czasach dawniejszej zażyłości, oboje małżonkowie byliby się wspólnie zastanowili nad przyczyną swego zdziwienia. Ale Dixmer w sobie zamknął swe myśli, pokonywając je niby jakie przywidzenie, a Genowefa przechodząc przez most au Change jeszcze raz spojrzała na ponury pałac, gdzie coś nakształt widma utraconego przyjaciela obudziło w niej tyle słodkich i zarazem gorzkich wspomnień. Oboje wrócili do domu nie przemówiwszy ani słowa.

Tymczasem żandarm Gilbert wyszedł, i zabrał koszyk z żywnością dla królowej. Były tam owoce, zimne kurczę, butelka białego wina, karafka wody i pół bochenka chleba.

Gilbert podniósł serwetę i obejrzał czy obywatelka Ryszard według przyjętego zwyczaju upakowała przedmioty przeznaczone dla królowej.

— Wszystko dobrze, ona nawet tyle nie zje — rzekł do swego towarzysza, który od chwili jak przestał palić fajkę, czytywał stare kalendarze jakie tylko mógł dostać. — I tego nawet nie zje, a jednak w Wersalu takie mnóstwo miała kucharzy, podówczas kiedyśmy tam po nią przybyli dla przywiezienia jej do Tuilleries.

— Prawda, prawda, mój Boże! — filozoficznie odpowiedział Dufresne — ale teraz naczelnym jej kuchmistrzem jest garkuchniarz z rogu ulicy.

— Te potrawy muszą być dla niej za twarde.

— Ah! mniejsza o to, byleby zjadła...

Gilbert wzruszył ramionami chcąc niby powiedzieć:

— Prawda! masz słuszność. — I odsunąwszy parawan dodał na głos: — Obywatelko, oto wieczerza.

Poczciwiec nie chciał mówić twoja wieczerza; aby nie tykać królowej, a nie śmiał powiedzieć pani wieczerza aby go nie posądzono o arystokracyą.

— Dziękuję, mój panie, nie jestem głodną — odpowiedziała królowa.

— Eh! obywatelko — odparł Gilbert niemogąc powściągnąć doznawanego wzruszenia, nie

trzeba mówić ciągle: „Nie jestem głodna“, ale trzeba jeść, cóż znowu u licha!

— Dla czego? — spytała królowa tak cicho że Dufresne nie słyszał.

Gilbert jednak usłyszał ją.

— Eh! obywatelko, choćby dla uczynienia mi przyjemności — zawołał Gilbert — rozczulony tak długą i świętą rezygnacyą.

Królowa smutnie się uśmiechnęła.

— A więc, aby ci uczynić przyjemność mój przyjacielu, zjem kawałek chleba.

Odkryła koszyk, i wyjęła chleb, a tymczasem Gilbert ze łzami w oczach patrzał na nią z po za parawanu.

Marya-Antonina w istocie ułamała chleb, ale wnet dotykając go uczuła chłód śrebra i domyśliła się że chleb ten musi w sobie coś nadzwyczajnego zawierać. Wtedy, poruszyła się mimowolnie, a krew występując na jej twarz, gorączkowym blaskiem rozjaśniła jej oczy i lica. Jednocześnie powodowana machinalnem natchnieniem spojrzawszy w około sobie, spostrzegła Gilberta i słabo krzyknęła.

— Ah! przebacz obywatelko, ja przestraszam panią — rzekł tenże odchodząc.

Ten krzyk tak dalece wzruszył Gilberta, iż śmiało powiedział panią, nie zważając co stąd wyniknie jeśliby był słyszany.

— Nie — rzekła królowa — ale bo... I zamilkła nie wiedząc jak się tłómaczyć.

Ale żandarm już był odszedł.

— Dobrze, dobrze — rzekł — wieczerzaj spokojnie, bo ludziom przykro patrzeć na kobietę, która się głodem morzy, a potem obywatelko połóż się i usiłuj zasnąć, ale nie jęcz przez sen jak to zwykle czynisz. Jakem Gilbert, wolałbym raczej widzieć cię w dzień stękającą, gniewającą się, bylebyś tylko w nocy nie jęczała.

Królowa przez chwilę siedziała nieporuszona, nietylko słuchała co mówił, ale nadto rachowała postęp jego oddalania się. Kiedy zapewniła się że już usiadł przy swym towarzyszu, wydobyła z chleba srebrny wałek. W środku tego wałka znajdował się list, rozwinęła go i czytała:

„Bądź Wasza Królewska Mość gotowa jutro o tym samym czasie, gdyż jutro o tej porze pewna kobieta wprowadzona będzie do więzienia Waszej Królewskiej Mości. Ta kobieta przebierze się w suknie Najjaśniejszej Pani i nawzajem Najjaśniejsza Pani w jej; następnie wsparta na ramieniu jednego z najprzywiązańszych sług Twoich, wyjdziesz Najjaśniejsza Pani z Conciergerie.„

„Niech hałas jaki będzie miał miejsce w pierwszym pokoju, niezatrważa Waszej Królewskiej Mości, niech jej nie wstrzymują ani krzyki, ani jęki; racz tylko jak najspieszniej przywdziać suknię i mantylkę mojej żony, która zostanie na miejscu Waszaj Królewskiej Mości.“

— Poświęcenie! — szepnęła królowa; — o! dzięki ci Boże! a więc nie jestem, jak mówiono przedmiotem powszechnego obrzydzenia. I znowu list odczytała. Wtedy uderzył ją drugi ustęp.

— Niech cię nie wstrzymują ani krzyki, ani jęki, — poszepnęła, — o! to znaczy że zabiją moich strażników. Biedni! oni dawali mi tyle dowodów politowania! o! nie, nigdy! przenigdy!

Natychmiast oddarła niezapisaną połowę listu, a że nie miała ani ołówka ani pióra aby odpisać nieznajomemu przyjacielowi, który się nią zajmował, wyjęła więc szpilkę z chustki i wykłuła na liście następujące wyrazy:

„Ani mogę, ani powinnam kosztem życia czyjego opłacać moje.“

M. A.

A potem włożywszy papier w srebrny wałek, znowu umieściła go w drugiej połowie rozłamanego chleba.

Właśnie biła dziesiąta godzina, gdy królowa trzymając w ręku kawałek chleba, liczyła smutnie każde uderzenie przeciągłe, przerywane: w tem usłyszała że ktoś niby dyamentem wyrzyna szybę u jej okna wychodzącego na tak zwany dziedziniec kobiet. Temu szmerowi towarzyszyło lekkie pukanie w szybę, które kilka razy powtarzane, zdawał się pokrywać niby naumyślny kaszel jakiegoś mężczyzny. Wreszcie w kącie szyby pokazał się mały zwinięty papierek, który zwolna stoczył się po ścianie i padł na podłogę.

Nakoniec królowa usłyszała brzęk kluczy i odgłos kroków oddalających się.

Przekonała się, że szybę przerżnięto w samym kącie i że człowiek, który odchodził tamtędy, zapewne papier wrzucić musiał. Papier ten leżał na ziemi.

Królowa połykała go wzrokiem, słuchając czy nie nadchodzi który z jej strażników; ale przekonała się, że jak zwykle rozmawiali po cichu, powodowani niemą zgodą, aby nie zakłócić jej spokojności. Wówczas tłumiąc w sobie oddech wstała i poszła podnieść ów papierek.

Jakiś delikatny i twardy przedmiot wyśliznął się niby z pochwy i padając na posadzkę dźwięknął metalicznie.

Był to jak najdelikatniejszy pilnik, raczej cacko niż sprzęt, jedna z tych stalowych sprężyn,

za pomocą której, najsłabsza i najniezręczniejsza nawet ręka w przeciągu kwadransa przepiłować może grubą, żelazną kratę.

„Najjaśniejsza Pani, brzmiał papier, jutro o pół do dziesiątej pewien człowiek przyjdzie do okna od dziedzińca kobiet i będzie rozmawiał z żandarmami, którzy cię pilnują. Tymczasem Wasza Królewska Mość przepiłujesz trzecią kratę w swojem oknie, licząc od ręki lewej do prawej. Piłować należy ukośnie, kwadrans czasu powinien wystarczyć; następnie, bądź Wasza Królewska Mość gotowa do przebycia okna.

„To radzi jeden z najprzywiązańszych, najwierniejszych poddanych Waszej Królewskiej Mości, który życie swoje poświęcił na Jej usługi, który szczęśliwy będzie jeżeli je poświęci dla Jej osoby.“

— O! szepnęła — królowa; to są sidła! Ale nie, zdaje mi się, że znam to pismo; tak jest, takie same jak w Temple; tak, to pismo kawalera de Maison-Rouge. Ah! może też Bóg pragnie abym była ocalona.

To powiedziawszy padła na kolana i szukała pociechy w modlitwie, tym najdoskonalszym balsamie więźni.

TOM IV.

I.

Przygotowania Dixmera.

Poprzedzony bezsenną nocą poranek, nadszedł nakoniec, straszny i śmiało rzec można, krwią nacechowany.

W rzeczy samej, codzień, w owej epoce i w owym roku, sine plamy występowały na słońcu.

Królowa zaledwie zasnęła snem niespokojnym; zaledwie przymknęła oczy, zdało się jej zaraz, że widzi krew, że słyszy czyjeś jęki.

Usnęła z pilnikiem w ręku.

Część dnia spędziła na modlitwie. Strażnicy tak ją często widzieli modlącą się, że ta niezwykła pobożność wcale ich nie dziwiła.

Od czasu do czasu uwięziona wyjmowała z zanadrza pilnik dany sobie przez jednego z jej zbawców i porównywała słabość tego narzędzia z siłą krat. Szczęściem kraty te z jednej tylko strony, to jest z dołu w mur były wpojone. Z wierzchu obejmował drąg żelazny poprzecznie przechodzący; podpiłowane zatem z dołu za lada poruszeniem mogły być wyjęte.

Atoli królowej nie wstrzymywały fizyczne trudności, pojmowała ona dobrze, że jest to rzecz możliwa i właśnie przekonanie o tej możliwości nadzieję jej zamieniło w krwawy płomień zaślepiający jej oczy. Czuła, że przyjaciele wprzód nim się do niej dostaną, będą musieli pozabijać jej strażników, a na śmierć ich za żadną cenę przyzwolić nie chciała; bo też to byli jedyni ludzie, którzy od tak dawna okazali jej pewien rodzaj współczucia.

Po drugiej stronie kraty, którą jej przepiłować kazano; po za ciałami obu ludzi, którzy, broniąc zbawcom przystępu do niej, uledz mieli, dostrzegała życie, swobodę, a może i zemstę, trzy rzeczy, tak miłe mianowicie dla kobiety, iż błagała o przebaczenie za tak gorące ich pożądanie. Wreszcie zdawała się nabierać przekonania, że strażnicy niczego się nie domyślają, że nie wiedzą bynajmniej o sidłach, jakie zastawiono na ich uwięzioną, przypuszczając, że spisek był tylko sidłem.

Ci ludzie byliby się zdradzili w oczach kobiety, mocą własnych cierpień, nawykłej do odgadywania nieszczęścia.

Królowa zatem odrzucała prawie myśl, że projektowany jej podwójny sposób ocalenia jest tylko sidłem; ale w miarę jak pozbywała się wstydu wpadnięcia w takie sidła, wpadała nawzajem w daleko większą obawę, przypuszczając, że ujrzy może krew dla niej przelać się mającą.

— O losie dziwaczny! o wzniosły widoku! szeptała. — Oto dwa na raz spiski, w celu ocalenia nieszczęsnej królowej, a raczej nieszczęsnej kobiety, która nie uczyniła nic, coby łudziło lub zachęcało spiskowych; dwa spiski, które jednocześnie wybuchną... Kto wie! może to tylko jeden spisek. Może to podwójna mina, mająca zejść się w jednym punkcie... Byłabym zatem ocalona, gdybym chciała... Ale ta biedna co się dla mnie poświęca... Ale ci dwaj żandarmi, których zabiją nim dojdą do mnie... Bóg i potomność nigdyby mi tego nie przebaczyli... Nie, nie! niepodobna!...

I wtedy wzniosłe pojęcia o poświęceniu się sług dla swych panów i starodawne podania o prawie panów do życia ich sług, to pojawiały się w jej umyśle, to znikały niby prawie zatarte widma znikającego majestatu.

— Anna Austryaczka przyjęłaby — rzekła sama do siebie — Anna Austryaczka byłaby nadewszystko przełożyła ową wielką zasadę ocalenia królewskich osób. W Annie Austryackiej płynęła ta sama krew co i we mnie, położenie jej było prawie podobne mojemu. O! pocóżem nierozsądna przybyła do Francyi przedłużać jej królestwo!

To też nie uczyniłam tego sama z siebie; dwaj królowie powiedzieli: „Ważną jest rzeczą, aby dwoje królewskich dzieci, które się nigdy nie widziały, które się nie kochają i może nigdy kochać nie będą, zostały zaślubione przy jednym ołtarzu, aby potem umrzeć mogły na jednem rusztowaniu.“ A wreszcie, czyliż śmierć moja nie pociągnie za sobą śmierci nieszczęśliwego dziecka, które w oczach niewielu przyjaciół moich jest dotąd królem Francyii? A skoro syn mój umrze tak jak umarł mąż mój, czyliż obu ich cienie nie uśmiechną się do mnie zdjęte litością, widząc, że aby oszczędzić kilka kropel krwi gminnej, moją własną bryzgałam szczątki tronu świętego Ludwika?

W takich to ciągle wzrastających udręczeniach, wśród tej gorączki powątpiewania, nieustannie przyspieszającej bicie pulsu, słowem, wśród najokropniejszej obawy, królowa doczekała się wieczora.

Nieraz przypatrywała się swym strażnikom i nigdy nie znalazła ich spokojniejszymi. I również małe grzeczności tych dwóch ludzi nieokrzesanych, ale dobrych, nigdy jej więcej nie uderzyły.

Kiedy ciemności nocy zaległy w więzieniu, kiedy ozwały się kroki maszerujących rontów, kiedy szczęk broni i wycie psów obudziło echa ponurych sklepień, kiedy nakoniec odkryła się cała okropność więzienia, cała daremność nadziei, Marya Antonina poskromiona wrodzoną kobiecej naturze słabością, wstała przerażona.

— O! ucieknę! — rzekła — tak jest, ucieknę. Skoro przyjdą, skoro przemówią, przepiłuję kratę i czekać będę na rozkazy Boga i moich zbawców. Mam dzieci i zabić ich nie dam, a przeciwnie, skoro ich pomordują a będę wolna, o! wówczas przynajmniej...

Nie skończyła, oczy jej zamknęły się, wyrazy na ustach skonały.

Nieszczęśliwa królowa zamknięta na zamki i kraty, okropnym snem marzyła. Ale wkrótce, ciągle jeszcze we śnie, zamki i kraty opadły; ujrzała się w pośród groźnych i nielitościwych żołnierzy; kazała wszystko niszczyć ogniem, mieczem; mściła się nad ludem, który zresztą był jej ludem.

Przez ten czas Gilbert i Dufresne spokojnie rozmawiali, przygotowując sobie wieczerzę.

Przez ten czas również Dixmer i Genowefa wchodzili do Conciergerie i jak zwykle umieszczali się w biurze nadzorcy. W godzinę później, znowu jak zwykle nadzorca pałacu skończywszy robotę, zostawił ich samych.

Skoro się drzwi za nim zamknęły, Dixmer poskoczył zabrać próżny koszyk, który postawiono na miejscu świeżo przyniesionego. Znalazł w nim kawałek chleba, przełamał go i wydobył srebrną rurkę.

Zbladł, gdy przeczytał odpowiedź królowej. Ale że Genowefa nie spuszczała go z oka, rozdarł więc kartkę na tysiączne kawałki i rzucił je w płomienistą paszczę pieca.

— Wszystko dobrze — rzekł — królowa zgadza się. — I obróciwszy się do Genowefy, dodał. — Chodź pani!

— Ja?

— Tak jest, muszę z panią pocichu pomówić.

Genowefa, niewzruszona i zimna jak marmur, zbliżyła się z pełnem rezygnacyi poruszeniem.

— Oto nadeszła stanowcza godzina — rzekł Dixmer — posłuchaj mię pani.

— Dobrze panie.

— Przekładasz zapewne śmierć korzystną dla twej sprawy, śmierć która ściągnie na ciebie błogosławieństwo całego stronnictwa i żal całego narodu, nad śmierć haniebną i pełną zemsty?

— Tak panie.

— Mogłem zabić cię na miejscu, kiedym cię zastał u twojego kochanka; ale człowiek, który życie swoje poświęcił zaszczytnemu i świętemu dziełu powinien umieć korzystać z własnego nieszczęścia i ponieść je w ofierze temu dziełu. To też uczynię, albo raczej uczynić zamyślam. Widziałaś, żem się wyrzekł rozkoszy wymierzenia sobie sprawiedliwości widziałaś również żem oszczędził twojego kochanka.

Po wybladłych ustach Genowefy przebiegło coś nakształt straszliwego uśmiechu.

— Ale znając mię, pojmujesz zapewne, że co się tyczy twojego kochanka, czekam stosowniejszej chwili.

— Panie — rzekła Genowefa — jestem gotowa; pocóż więc tyle gadaniny.

— Jesteś gotowa?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

Prawa przeciwzbytkowe.

Dziś, gdy każdy ubiera się tak, jak chce, wydaje na ubranie tyle, na ile go stać, — lub... na ile zdaje mu się, że go stać — dziwną i nieprawdopodobną wydaje się rzeczą, aby prawo mocne było wglądać w osobiste wydatki jednostki i przepisywać jej, w co się ma ubierać, a czego włożyć na siebie nie może.

Czyniły to jednak prawa średniowieczne, zarówno na zachodzie, jak i u nas, zmierzając do powściągnięcia przepychu, który się szerzył wśród zbogaconych handlem mieszczan.

Odznaczały się nim zwłaszcza żony patrycyuszów miejskich. Zamożniejsze nieraz od szlachcianek, ubiegały się o przewyższenie ich bogactwem strojów, nie żałując sobie na sobole, na ciężkie złotogłowia kosztowne klejnoty, obciążając bogatym haftem jedwabne węzgłowia pościeli, zdobiąc komnaty swoje w najwzorzystsze makaty i kobierce, a stoły w najcieńsze płótna i koronki.

Działo się to nietyle ku zgorszeniu surowych moralistów, ile ku utrapieniu „szlachetnie urodzonych" płci niewieściej jednostek, których oburzenie musiało, rzecz prosta, oddziaływać na poglądy dostojnych małżonków. I kto wie, czy w tem właśnie nie należy szukać źródła surowości i ówczesnych praw przeciwzbytkowych, któremi wzbraniano mieszczankom kosztownych jedwabnych tkanin, dłuższych nad przepisaną miarę powłok (jak wówczas z polska nazywano „treny") rzadkich futer, oraz określano wagę i jakość klejnotów, dozwolonych tylko żonom burmistrzów, rajców i znaczniejszych kupców.

Za praw tych przekroczenie grzywnami okładano dawne mieszczki, co jednak nie przeszkodziło żonie ławnika miejskiego, ugaszczającej w swym domu księżnę Małgorzatę (siostrę Karola V-go cesarza niemieckiego), wielkorządczynię Niderlandów, nakryć stół biesiadny obrusem z najprzedniejszego atłasu, obwiedzionym wokoło frędzlą z perełek i złotych łańcuszków tak ciężką, że atłas przylegał do stołu, jak przyklejony. A na stole leżały blachy ze srebra, wypolerowanego jak zwierciadło, ujęte w rzeźbione ramy szczerozłote!

Wyobrażam sobie, że i strój pani domu musiał świetnością odpowiadać zastawie i że ks. Małgorzata niezbyt łaskawem spoglądała nań okiem, bo ona to właśnie pomiatając ludźmi „podłego rodu", wznowiło mniej ścisle już przestrzegane prawa przeciwzbytkowe i grzywnami karała ich przekroczenie.

U nas wydawał je Kazimierz Wielki może właśnie po owej uczcie u Wierzynka na której z takim przepychem podejmowany był razem z koronowanymi swymi gośćmi. Opowiada wprawdzie Szajnocha w pomnikowem dziele swojem p. t. Jadwiga i Jagiełło", że kochały się w zbytku patrycyuszki miejskie, że młode kobiety, w łóżku przyjaciółek, lubiły się popisywać wytworną pościelą, że biały atłas powłoczek na licznych, różnej wielkości poduszkach, lśnił się haftem różnobarwnego kwiecia, że od ciężkich jedwabnych kołder „bogato w misterne wzory szytych" zwieszały się ciężkie złote frędzle, miał więc poniekąd król słuszne powody do stanowienia praw przeciwzbytkowych.

Jednak nie słychać jakoś, aby zbyt pilnie nad ich wykonywaniem czuwano, a po śmierci króla wesoły i wytworny dwór Elżbiety, gospodarującej na Wawelu, nie świecił przykładem prostoty.

W epoce Odrodzenia zamiłowanie w przepychu wzrasta, a smak uszlachetniony wpływa na sztuki i pilnuje aby przedmioty zbytku nosiły cechę artyzmu. Idą więc w zapomnienie surowe prawa średniowieczne: niewiasty wszystkich stanów i narodów folgują wrodzonemu upodobaniu do stroju, którego wykwint nigdy w parze iść nie mógł z taniością.

Aż dopiero w w. XVIII-ym najniespodziewaniej podnosi się głos, który — ile że jest głosem królewskim — nabiera znaczenia rozkazu. Fryderyk I-szy, król pruski, („*służka starej*", jak go nezywa J. B. Zaleski) świeżo dostąpiwszy władzy królewskiej, sięga nią natychmiast we wszystkie dziedziny życia — po prusku: brutalnie a butnie.

Nie przepuścił też i kobietom. Pod ciosem wymierzonym przez jego wszechpotęgę jęknął cały ród Niemkiń: od sztywnej „*Hoffaehig*" damy dworskiej, aż do *Hausfrau*, z warząchwią w ręku pilnującej gotowania knedli.

Bo oto rozkaz królewski z r. 1701 opiewa „aby kobiety nie stroiły się w złotogłów, i unikały zbytku, bo zbytek sprowadza karę Bożą".

(Nie nazwał jeszsze Prus *„państwem bojaźni Bożej“*, miało to przyjść później dopiero).

Dalej zabrania nosić „nowomodne“ brokatele oraz staniki, przyozdobione „bufami atłasowemi“. Nie wolno też nosić złotych wstążek, ani przystrajać głów „wpiętą we włosy ryżą złotą, wysadzaną drogimi kamieniami“. Klejnotów używać tylko mogły damy dworskie podczas wielkich występów i uroczystych przyjęć; wtedy też włożyć mogły suknię z powłoką, surowo wzbronioną na ulicy, której „zamiatanie“ nie do kobiety należy.

Do wszelkich także koronek, do „żabotów“, „wolantów“ tak podówczas noszonych, czuł Fryderyk specyalną antypatyę.

Tylko osobom, piastującym godności dworskie wolno było używać koronek: mężczyznom przy szyi oraz przy rękawach „bez zbytniego szafunku“, a damom w sposób, skromności nie rażący i dobrym obyczajom nie przeciwny“. Dobre obyczaje zaś nie mogły ścierpieć oszycia spódnicy koronką szerszą jak „na cztery palce“!

Ograniczywszy elegancyę dworzan płci obojej zniósł też Fryderyk jednym zamachem pióra strojnisiostwo kobiet, należących do stanu mieszczańskiego. Żonom obywateli miejskich, kupców, rękodzielników — i wogóle procederzystów wszelkiego rodzaju zupejnie zabronił koronek: mogły się ubierać tylko w takie, które były dziełem ich własnych rąk. Suknie mogły mieć przybrane taśmami tylko — wełnianemi lub jedwabnemi; odrzec się za to musiały raz na zawsze haftów i naszyć, objętych ogólną nazwą, „marnotrawstwa“ nieprzystojnego nawet dla osób krwi szlacheckiej. Prawdę rzekłszy, nie miały nawet biedaczki nic, coby warto przystrajać „marnotrawstwem“. Król odebrał im prawo noszenia tkanin jedwabnych, a do sukien wełnianych „krojem prostym“ wystarczały skromne ozdoby szmuklerskie.

Surowość Fryderyka przyczyniła się niewątpliwie do wzrostu zamożności w Prusach przez ograniczenie wydatków i obniżenie skali życia; nam jednak wydaje się dzisiaj dziwnem, aby czyjaśkolwiek wola regulowała nasze osobiste wydatki.

Wystarczyć na to powinien własny nasz rozsądek i poczucie obowiązku — tak względem rodziny, jak i względem społeczeństwa, które ubożeje materyalnie i duchowo przez życie nad stan, przez zamiłowanie zbytku, które rozpieszcza i rozpróżniacza.

Wie o tem każda obywatelka rozumna, każda poważnie myśląca kobieta i ze wskazówek mody wybiera tylko te, które pozwalają upiększyć własną osobę bez „marnotrawstwa — nieprzystojnego“ kobiecie, matce rodziny i jednostce, zadania swego w społeczeństwie świadomej.

T. Prażmowska.

Dom i kuchnia.

Szczotki do czyszczenia sukien, powinny być od czasu do czasu myte, najlepiej w zimnej wodzie, bo od gorącej szczecina mięknie. Namydlić szczotkę twardem mydłem, wymyć dobrze, wypłókać w czystej zimnej wodzie, ażeby nie został ani ślad mydła, które zmiękcza także włosie i szczecinę, i wysuszyć. Kto zaś nie chce używać wody, jeżeli szczotka ma ładną oprawę, może użyć następującego sposobu. Otręby nasypane na czystą brytwannę, rozgrzać mocno i nasypawszy gorących na szczotkę, wycierać ją ręką. Potem wytrząsnąć i nasypać znowu świeżych, tak samo gorących, powtarzając to, dopóki szczotka nie oczyści się zupełnie. Wytrzepać ją trzeba bardzo dokładnie, na zakończenie, ażeby nie zabieliła sukień.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Rosół z niokami, comber barani z ryżem, kompot.

Poniedziałek. Zupa pomidorowa, cielęca pieczeń z burakami, krem cytrynowy.

Wtorek. Zupa cytrynowa z ryżem, wątróbka smażona z kartofelkami, omlet z konfiturami.

Środa. Zupa rumiana z grzankami, huzarska pieczeń z jarzyną.

Czwartek. Krupnik polski, kiełbasa smażona z kapustą.

Piątek. Zupa z kartofli ze śmietaną, łosoś pieczony, legumina z ryżu.

Sobota. Rosół z grzybkami, rozbef z marchwią, konfitury.

Uczmy dzieci nasze i sąsiadów czytać i pisać po polsku...

Wtajemniczajmy je w krzepiące ducha i serce dzieje narodu naszego...

Uczmy dzieci być Polakami o silnym charakterze, o woli niezłomnej, nieugiętej.

:: HUMORYSTYKA ::

Ostrożny.

Na polowaniu.

— Panie Izydorze, kuropatwa leci, strzelaj pan!

— Przepraszam, ale czy w razie jakbym ją zabiuł, rodzina nie zrobi mi nieprzyjemności kryminalne?

Po powrocie z podróży.

— Wie pani, w Berlinie ulice we wszelkiej porze dnia i nocy są zamiecione.

— A jeżeli śnieg pada?

— To nic; tam i śnieg pada już przedtem zamieciony.

Dla zwyczaju.

— A to dokąd?

— Idę oświadczyć się pannie Zofii.

— Ależ ona da ci na pewno odkosza.

— Wiem o tem, lecz bywając tam od kilku miesięcy, uważam za stosowne oświadczyć się dla zwyczaju.

Logiczny gospodarz.

— Panie gospodarzu, piec w mojem mieszkaniu nie chce ciągnąć.

— Z przeproszeniem ale pan mówi głupstwo, czy to piec jest cygar aby ciągnął?

W szkole.

— Pomeranc, ile będzie dwa razy trzy?

— Szedem.

— Jak to, nie sześć?

— Ja chciałem, żeby pan profesor na ten interes co zarobiuł.

Najlepszy środek.

Nerwowa panienka zgłasza się do lekarza po radę, co ma robić na pryszczyki i swędzenie w twarzy. Lekarz ogląda jej lica dokładnie.

— Niech mu panienka każe częściej golić brodę.

Wiara uzdrawia.

W pewnym szpitalu lekarz choremu na febrę dał do zażycia odpowiednie lekarstwo, aby zaś zmierzyć ciepłotę ciała, wsunął mu pod ramię termometr i poszedł dalej.

Po upływie dłuższego czasu powraca do tego samego pacyenta i pyta się go: „jak tam zdrowie?“

Pacyent: Mikstura jak mikstura nie pomogła ani krzty, ale ta rurka szklanna, co ją mam pod pachą, zrobiła mi znacznie lepiej.

Podsłuchane.

— Kuba! kciołbyś ty ostać cisorzem?

— Głupiś, cy co? Wtózby nie kcioł?! — A tybyś kcioł?

— Jesceby tez.

— A cozbyś ty robieł, jakbeś — demy na to ostoł cisorzem?

— Cobyk mioł robić? Nic. — Kase jaglanom byk se telko jod, i do góry brzuchem na kupie siana lezoł. A ty?

— Jo, na to mówięcy — tak, jak ty; nicbyk nie robieł, inobyk se z bata scyloł i bawił sie ze raty przeraty.

Po amerykańsku.

— W Baltimore przypadkiem słyszałem grę jednego pianisty, który bardzo trudną sonatę Rubinsteine odegrał na fortepianie dziesięciu palcami u nóg, a waryacye z jednej angielskiej pieśni ludowej to wykonał samymi nagniotkami.

— Ach! to jeszcze nic. Jak byłem zeszłego roku w Warszawie, znalazłem się w Filharmonii na koncercie, na którym pewien waldhornista tak pysznie pobudkę myśliwską do osaczenia jelenia naśladował, że przypadkiem znachodzący się w sąsiedniej sali pies do polowania, wyjąc, wpadł pomiędzy publiczność i pewnego człowieka, który się Jeleń nazywał, rozszarpał na kawałki.

Przy wynajęciu pomieszkania.

Wynajmujący: Ma pani córki?

Ona: Nie, ale ja sama jestem wdową...

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.